Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

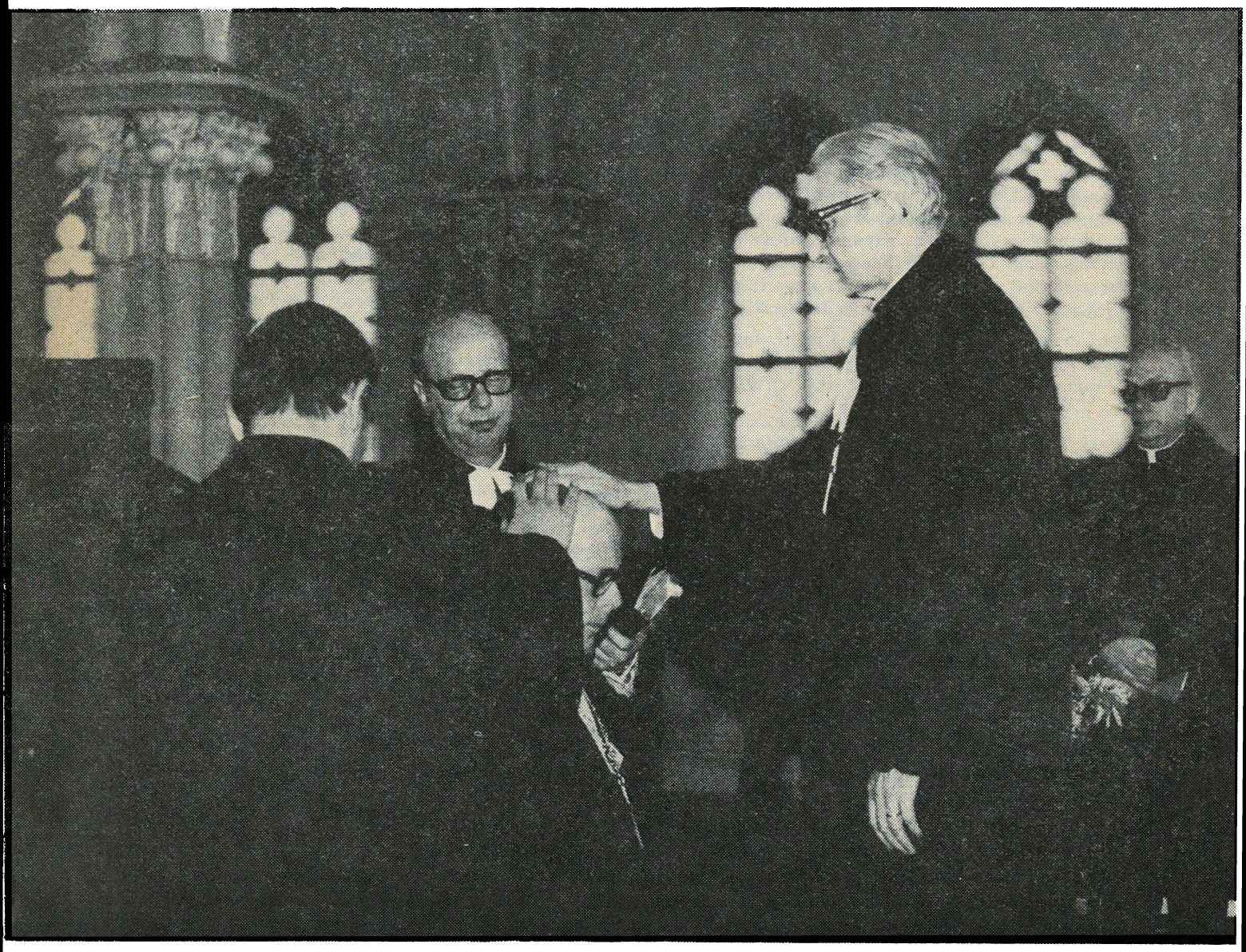

11/78

Rocznik XXII (XXXVI)

CO WY NA TO?

Dzięki transmisji telewizyjnej mieliśmy możność obserwowania przynajmniej fragmentów (w tej właśnie porze odbywały się nasze nabożeństwa) uroczystości inauguracyjnej papieża Jana Pawła II, którym został, jak wiadomo, Polak, Karol kardynał Wojtyła, dotychczasowy arcybiskup, metropolita krakowski. Powołanie po raz pierwszy w historii Polaka na tron papieski, po raz pierwszy od 455 lat nie-Włocha, stało się sensacją światową, dla katolików w Polsce powodem wielkiego entuzjazmu, a dla wszystkich chyba Polaków, bez względu na wyznanie i przekonania, wydarzeniem dającym głęboką satysfakcję. Trudno pozostać obojętnym wobec wyniesienia naszego rodaka do tak wielkiej godności. Niezależnie od naszych poglądów na istotę papiestwa przyznajemy, że jest to godność, która w tym świecie się liczy.

Różni ludzie na całym świecie snują domysły, jaki będzie ten pontyfikat. W dotychczasowym życiu i działalności kardynała Karola Wojtyły szukają szczegółów, na podstawie których można by snuć domysły co do jego przyszłej działalności jako papieża Jana Pawła II. Nas najbardziej interesuje, oczywista, stosunek papieża do Kościołów innych wyznań, a także styl sprawowania władzy w Kościele rzymskim, bo to również będzie miało wpływ na stosunki ekumeniczne.

Uroczystość na placu Św. Piotra w Rzymie była imponująca, choć z powodu transparentów i oklasków nabrała nieco wiecowego charakteru, co odczuwaliśmy szczególnie my, Polacy, którzy mamy zwyczaj inaczej wyrażać uczucia religijne. Co prawda, nie można zapominać, że inauguracja pontyfikatu była jednocześnie objęciem przez Jana Pawła II władzy świeckiej. Watykan jest przecież suwerennym państwem, które utrzymuje stosunki dyplomatyczne z wieloma innymi państwami. Stąd obecność korpusu dyplomatycznego i oficjalnych przedstawicieli w osobach prezydentów, królów i premierów, wśród których była również delegacja polska z przewodniczącym Rady Państwa, Henrykiem Jabłońskim.

Jan Paweł II, podobnie jak jego poprzednik, zrezygnował z koronacji tiarą, która jest symbolem jednoczenia władzy świeckiej i duchownej. Ostatnim koronowanym papieżem był Paweł VI, ale i on później tiary nie używał. To dobry znak.

Papież nie był niesiony na sedia gestatoria, tylko przyszedł na plac pieszo i pieszo wrócił. W przemówieniu nie wyrażał się o sobie w pluralis majestatis „my", tylko posługiwał się pierwszą osobą liczby pojedynczej. To też dobry znak.

W czasie uroczystości kilkakrotnie łamał protokół, czym dawał wyraz swoim ludzkim uczuciom i odczuciom. Podszedł do zgromadzonych na placu ludzi, podawał im rękę, rozmawiał z nimi, czym wprawił w zakłopotanie czuwające nad prawidłowym przebiegiem ceremonii osoby. Również w czasie późniejszej audiencji dla dziennikarzy łamał przewidziany protokół, aby nawiązać z nimi bezpośredni kontakt. I to jest znak dobry.

W zakończeniu przemówienia znalazło się ciepłe zdanie pod adresem obecnych delegacji niekatolickich. Papież użył przy tym słowa „Kościoły", a chrześcijan innych wyznań nazwał braćmi, rezygnując z nieszczęśliwego określenia „odłączeni". Jeszcze jeden znak dobry.

Mniej nas cieszą akcenty maryjne, bardzo liczne w wypowiedziach nowego papieża. Jego kult do Matki Jezusowej podkreśla litera „M" widoczna w herbie. Czyżby słowa „Totus Tuus" (całkowicie Twój), również widoczne w herbie, odnosiły się do Marii? Byłoby to zjawisko niepokojące u zwierzchnika największego odłamu chrześcijaństwa, choć dosyć zrozumiałe u człowieka wychowanego w tradycyjnej, polskiej pobożności katolickiej.

Życzymy Janowi Pawłowi II, pierwszemu Polakowi na papieskim tronie, rozwagi, mądrości, światła Ducha Świętego w spełnianiu tej odpowiedzialnej, nie do pozazdroszczenia trudnej roli. Niech Bóg pozwoli mu sterować ku pokojowi i ku coraz lepszemu porozumieniu między chrześcijanami różnych wyznań. Bardzo pragnęlibyśmy, aby ekumeniczny klimat również w Polsce jeszcze się polepszył za sprawą Polaka na watykańskiej stolicy.

CO W NUMERZE?

Sześćdziesiąt lat temu, po 123 latach niewoli Państwo Polskie znowu pojawiło się na mapach Europy. Związane z tą rocznicą kazanie ks. bp. Jana Niewieczerzała, zatytułowane — **Powołani do wolności**, zamieszczamy na s. 3, a modlitwę za Ojczyznę — **Jak to się dzieje, Panie?** drukujemy na s. 4.

Przed 60 laty powstała niepodległa Polska — to tytuł artykułu ks. prof. dr. Woldemara Gastpary'ego, który pisze o okolicznościach, w jakich doszło do wskrzeszenia Państwa Polskiego i o roli ewangelików (s. 5). Ważną dla Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce datą był dzień 1 października 1978, kiedy to nowy biskup, ks. Zdzisław Tranda, rozpoczął urzędowanie. **Ilustrowane sprawozdanie z uroczystości introdukcji** zamieszczamy na s. 8.

Polskie Radio i Telewizja nadały 22 października bezpośrednią transmisję z inauguracji pontyfikatu papieża Jana Pawła II. Kilka refleksji w związku z tym wydarzeniem drukujemy obok.

Numer lipcowo-sierpniowy był poświęcony zagadnieniom ekumenicznym, nie mogliśmy więc uwzględnić w nim artykułów dotyczących Powstania Warszawskiego. Czynimy to teraz, drukując blok trzech publikacji związanych z walkami powstańczymi na terenie cmentarzy ewangelickich. W ten sposób nawiązujemy do naszego zwyczaju zamieszczania co roku w listopadzie materiałów związanych z historią cmentarza reformowanego. Najpierw — **Wspomnienia tamtych dni sierpniowych** (s. 11) Celiny Borowej, długoletniej administratorki cmentarza, żony Wacława Borowego, jednego z pierwszych redaktorów i współpracowników „Jednoty", któremu nasze pismo wiele zawdzięcza w okresie powojennej egzystencji. Następnie — fragmenty pracy Piotra Stachiewicza — **Parasol** (s. 12) i wyjątek z książki Aleksandra Kamińskiego „Zośka i Parasol", wyjątek zatytułowany **Na cmentarzach Woli** (s. 15).

Rozmowy przy studni zamieszczamy na s. 17, a **Przegląd ekumeniczny** — na s. 19.

NASZA OKŁADKA:

Uroczysta chwila — włożenie rąk przez ustępującego biskupa i asystentów.

Ks. JAN NIEWIECZERZAŁ

Powołani do wolności

Do wolności powołani zostaliście, bracia; tylko pod pozorem tej wolności nie pobłażajcie ciału, ale służcie jedni drugim w miłości.

Gal. 5:13

W roku bieżącym przypada sześćdziesiąta rocznica odzyskania niepodległości po blisko stu pięćdziesięciu latach niewoli pod trzema zaborami. W roku 1918 spełniły się sny i marzenia milionów Polaków, którzy, podzieleni granicami okupacyjnych mocarstw, nie zaprzestali walki o odzyskanie najcenniejszego dla świadomego swej jedności narodu skarbu, wolności. Czym był w istocie ten fakt i jaką cenę trzeba było za niego zapłacić, stwierdza historia, znaczona cierpieniem, ofiarami życia i nieustępliwą walką o zachowanie wartości ludzkich. Myśląc o roku 1918, nie jesteśmy w stanie oddzielić tamtego dziejowego momentu od ostatniego najdramatyczniejszego okresu niewoli z lat drugiej wojny światowej, której epilogiem stało się zwycięstwo w 1945 roku, opłacone straszliwą daniną krwi i męczeństwa. Dzieje narodu, uporczywa walka o samodzielny byt i wreszcie cena za ten byt zapłacona, świadczą o tym, jaką wartością dla człowieka jest życie w wolności.

1. Jako chrześcijanie pytamy, co na temat wolności mówi Pismo święte. Z przytoczonego na wstępie tekstu wynika, że wolność jest naturalnym stanem życia człowieka wiary. „Do wolności powołani zostaliście, bracia". Tym, którzy są w Chrystusie, została zagwarantowana wolność, której winni bronić i strzec rozważnie przed utratą. W Liście do Galacjan (5:1) Apostoł mówi: „Chrystus wyzwolił nas, abyśmy w tej wolności żyli. Stójcie więc niezachwianie i nie poddawajcie się znowu pod jarzmo niewoli". Chociaż słowa te dotyczą przede wszystkim spraw wiary i stosunku do sztywnych przepisów zakonu, to jednak znaczenie ich wykracza poza sprawy kultu i religii. Fakt, że przywilej wolności stał się przez wiarę darem wzbogacającym w pierwszym rzędzie wyznawców Zbawiciela, w niczym nie ogranicza prawa do jego posiadania przez jakiegokolwiek człowieka. Boża łaska i Boża miłość wykraczają poza granice określone naszym rozumieniem i naszą krótkowzrocznością. Boże miłosierdzie i Boża światłość, objawione światu w Chrystusie, oświecają wszystkie krańce ziemi, przenikają do najmroczniejszych zakątków naszego globu. W swej wspaniałej wizji o narodzeniu i panowaniu Księcia Pokoju, Chrystusa, prorok Izajasz (9:1) mówi: „Lud, który chodzi w ciemności, ujrzy światło wielkie, nad mieszkańcami krainy mroków zabłyśnie światłość". Apostoł Paweł zaś pisze, że „w Nim poganie nadzieję pokładać będą" (Rzym. 15:12b).

Świadomi znaczenia przytoczonych słów Pisma świętego, dotyczących owej najważniejszej sprawy, wolności duchowej człowieka, nie możemy dopuścić myśli, iż Bogu obojętne są sprawy wolności narodowej i społecznej. Przyznając niezaprzeczalnie pierwszeństwo duchowej stronie istnienia, niezliczone przykłady Pisma poświadczają dobitnie, że Bóg troszczy się o doczesny los ludzi we wszystkich jego wymiarach. Zarówno o pokarm i napój, o dom i odzienie, o zdrowie i bezpieczeństwo, jak i o możność korzystania z owoców życia w sprawiedliwości, pokoju oraz w należnej istocie ludzkiej, stworzonej na obraz Boży, wolności. Wiemy dobrze z historii powszechnej, a także z naszych własnych doświadczeń, jak trudno jest ludziom i narodom właściwie oceniać, rozumnie wykorzystywać, a niekiedy skutecznie bronić tego cennego daru. Przekonanie zaś o tym, że chrześcijanin upatruje gwarancję wolności przede wszystkim w duchowej sile człowieka, a także narodu, potwierdzają słowa apostolskie: „Gdzie Duch Pański, tam wolność" (II Kor. 3:17).

2. Jakże bolesną rzeczą jest utrata wolności. Jeszcze boleśniejsza wówczas, gdy nastąpi nie tylko z powodu materialnej i orężnej przewagi wroga, lecz gdy zawiniona zostanie własną lekkomyślnością, niedbalstwem lub brakiem rozumu i poszanowania prawa. Te bowiem m.in. grzechy nasze w siedemnastym i osiemnastym wieku sprowadziły na naród nieszczęście rozbiorów, utratę niepodległości państwowej i prawie półtorawieczne poniżenie. W tym ciemnym okresie żałoby zgasnąć miały pod przemocą zaborców wszelkie światła narodowej kultury — język, nauka, sztuka oraz wszelkie aspiracje wolnego ludu. Do pobojowiska, pełnego suchych odartych z ciała kości, podobny miał być lud; do roli bezwładnego i bezdusznego tłumu niewolników, żyjących bez żadnej nadziei miał być sprowadzony naród, szczycący się niegdyś swą siłą i wielkością. Zdawało się, że już nic nie pozostało ludziom, jak tylko płacz i narzekanie nad losem i straszliwą klęską. Jakże podobni

byliśmy do uprowadzonego w niewolę babilońską ludu Bożego, o którym Psalmista mówi: „Nad rzekami Babilonu — tam siedzieliśmy i płakaliśmy na wspomnienie Syjonu. Na wierzbach w tamtej krainie zawiesiliśmy lutnie nasze, bo tam żądali od nas słów pieśni ci, którzy nas wzięli w niewolę, a ciemiężcy nasi — radości" (Ps. 137). Niezbadane są jednakże drogi Boże, bezgraniczna jest dobroć i miłość Pana wszechświata, który nie chce, by człowiek żył w niewoli i poniżeniu. Jak kiedyś lud starego Przymierza w swej beznadziejnej poniewierce doznał działania Ducha, wskazującego drogę do wolności, tak i w naszej historii mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem. To tam, nad rzekami Babilonu naród izraelski, naród, który utracił ojczyznę i możliwość samodzielnego kształtowania swych losów, przeszedł w istocie rzeczy głęboki proces odrodzenia i oczyszczenia duchowego. Uciemiężony fizycznie, w mocy wiary wykrzesał z siebie niezwykłe wartości duchowe, które po dzień dzisiejszy stanowią dla chrześcijan niewyczerpane źródło religijnego życia. Rozproszony naród w niewoli pogłębił się wewnętrznie, przeżył pokutę za grzechy przeszłości i wreszcie ustalił na długie wieki organizację i formy swego życia religijnego. W niewoli, jak gwiazdy nadziei zaświeciły też postacie wielkich proroków — instrumentów Bożego działania, którzy pełnymi mocy słowami mobilizowali duchowe siły ludu na dni wyzwolenia. Zaprawdę „Duch jest, który ożywia" (Jan 6:63).

Jakże bliskie są doznania i przeżycia ludu izraelskiego historii, jaką przeżył nasz naród w czasie swojej niewoli. I on, utraciwszy zew-

Jak to się dzieje, Panie?

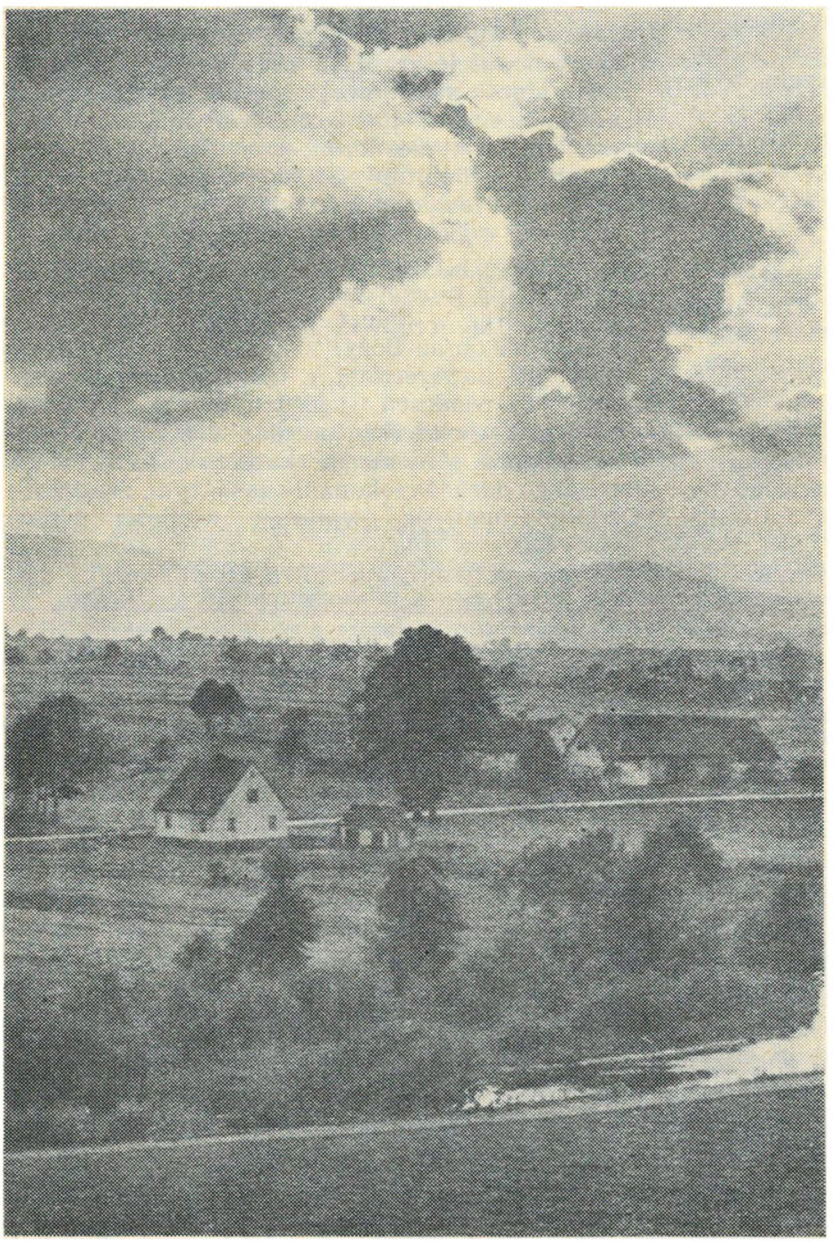

Jak to się dzieje, Panie,
że spośród tylu miejsc na ziemi
wybrałeś dla mnie to jedno?

Jak to się dzieje,
że spośród całego piękna naszej planety
najpiękniej w oczach moich
przyozdobiłeś tę właśnie krainę?

Jak to się dzieje,
że chociaż tyle dałeś mi już poznać
ziem piękniejszych,
ludzi lepszych i sprawiedliwszych,
to jednak
(tak wyraźnie mi o tym mówisz!)
nie ma wśród nich
dla mnie miejsca.
Jest tylko to jedno,
tu, pod polskim, Twoim niebem...

Jak to się dzieje, Panie,
że tylko tutaj,
gdzie wszystko najboleśniej mnie rani,
mogę doznawać i najgłębszego szczęścia...

Jak to sprawiłeś,
że tylko pod tym niebem
moja własna historia
i dzieje mojego rodu
są tożsame
z historią wszystkich pokoleń,
które były i minęły,
a przecież są we mnie...

Jak Ty to czynisz, Panie,
że choć gniew czasem we mnie płonie wielki,
to jeszcze większa od niego jest miłość?

Ty wiesz,
że codziennie się modlę
za to miejsce na ziemi jak za mój dom,
za lud utrudzony
i stale przez Ciebie doświadczany —
jak za własną rodzinę,
za jego odnowę w Duchu Twoim —
tak jak za moje osobiste szczęście.

Czy odpowiesz mi, Panie,
jak to właściwie jest z tą ziemską Ojczyzną?
Amen.

nętrzne i materialne formy swego bytu, poznał, że konieczną i nieodzowną rzeczą w walce o odzyskanie samodzielności jest przede wszystkim krytyczne spojrzenie na niedostatki życia w przeszłości, refleksyjne przewartościowanie stosunków społecznych oraz wyraźne oparcie swej nadziei i przyszłego istnienia na najgłębszych wartościach moralnych i duchowych. Prawdziwa pokuta za grzechy przeszłości, należyte dowartościowanie i rozumienie tak ważnych haseł, jak wolność, równość i braterstwo — winny stać się wartościami, za pomocą których naród odzyska należne mu miejsce pośród wolnych ludów świata. Te najpiękniejsze przejawy ducha oświetliły pośród ciemności niewoli drogi naszego uciemiężonego ludu. Nad mrokami beznadziejności, jak kiedyś w Babilonie niósł się głos proroków, tak u nas rozbrzmiewały słowa wieszczów, Cieszkowskiego, muzyka Chopina, potwierdzając nigdy nie zamarłą wolę odrodzenia. Inspirowani wiarą w Bożą sprawiedliwość i miłość do bliźniego, przygotowywali oni serca i umysły do powrotu do wolnej Polski.

3. Spełniły się nadzieje, w kształt rzeczywistości przeoblekły się tęsknoty i sny pokoleń. Ten, który kiedyś we wstępie do Dekalogu powiedział: „Jam jest Pan, Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli". Ten, który dozwolił w oznaczonym czasie wrócić swemu ludowi z niewoli babilońskiej, stanął w swym miłosierdziu u boku i naszego walczącego o byt narodu, pozwolił mu święcić zarówno w roku 1918, jak i po raz wtóry w roku 1945, dzień wolności, dzień wyzwolenia z niewoli. Jakąż radość i wesele przeżywa człowiek, któremu dane było przeżyć chwilę zrzucenia krępujących go kajdan i wyjść z wieloletniego więzienia! Jakąż radość przeżywa naród, który na własnym ciele ma możność oglądania cudu odrodzenia i nowego życia. To w mocy nieśmiertelnego Ducha Bożego suche kości skazanego na śmierć narodu, jak w wizji proroka Ezechiela (Ezech. 37), przyoblekają się w słońcu wolności w nowe ciało i przyjmują nowego ducha na dalsze, godniejsze pielgrzymowanie. Naród nasz, a wraz z nim i my, przeżyliśmy najcięższe doświadczenia, a także nieopisaną radość z uzyskania prawa do nowego życia. Z tym wszakże zobowiązaniem, byśmy tę daną nam przez Boga i wywalczoną wolność umieli i chcieli wykorzystywać dla wzajemnej służby w miłości, jak tego wymaga nasz dzisiejszy tekst Pisma świętego. To zaś przypomnienie niechaj połączy się w wierze z radością Psalmisty Pańskiego, który ongiś, przed wiekami, w dniach powrotu z Babilonu, wyśpiewał swą pieśń dziękczynienia, posłuszeństwa i nadziei wobec najwyższego Władcy świata:

„Gdy Pan wywiódł z niewoli uprowadzonych z Syjonu, byliśmy jak we śnie. Wtedy usta nasze były pełne śmiechu, a język nasz radości. Wtedy mówiono wśród narodów: Pan dokonał z nimi wielkich rzeczy. Wielkich rzeczy dokonał Pan z nami, przeto byliśmy weseli. Odmień, Panie, losy nasze jak strumienie w ziemi południowej. Ci, którzy siali ze łzami, niech zbierają z radością! Kto wychodzi z płaczem, niosąc ziarno siewne, będzie wracał z radością, niosąc snopy swoje" (Ps. 126). Amen.

Ks. WOLDEMAR GASTPARY

Przed 60 laty powstała niepodległa Polska

Pierwsza wojna światowa była nieuniknionym następstwem pewnych układów w Europie i na ogół liczono się ze zbrojnym konfliktem. Nie sądzono jednak, że przybierze on takie rozmiary, że będzie trwał tak długo i że spowoduje takie zmiany. Nagromadziło się wiele antagonizmów, które co prawda chciano zlikwidować na drodze dyplomatycznej, a kiedy to się nie udało, zbrojne starcie stało się nieuniknione.

Od wojny prusko-francuskiej 1870—1871 istniał antagonizm francusko-pruski, bowiem Francuzi nie mogli przeboleć klęski pod Sedanem i utraty Alzacji i Lotaryngii. W końcu XIX wieku i z początkiem XX Niemcy rozbudowali swój przemysł i stali się konkurencją dla Anglii na polu gospodarczym. Jednocześnie pomnożyli swoją flotę i Anglii groziła utrata stanowiska królowej mórz. W 1911 ówczesny angielski kanclerz skarbu Lloyd George bardzo oględnie, niemniej bardzo zdecydowanie, określił stanowisko Albionu: „...pokój za wszelką cenę jest formułą nie do przyjęcia dla wielkiego narodu".

Na Półwyspie Bałkańskim konkurowały z sobą w próbach zapewnienia wpływów na Bałkanach Rosja i Austro-Węgry. Habsburgowie wyraźnie dążyli do sukcesywnej aneksji małych państw bałkańskich, Rosja zaś, uważając się za opiekunkę państw słowiańskich na Bałkanach, przeciwstawiała się zamiarom Habsburgów. W ukryciu, ale systematycznie, narastał antagonizm niemiecko-rosyjski, gdyż Rosja posiadała i chciała zachować całe wschodnie wybrzeże Bałtyku, którym interesowały się także Niemcy. Bismarck, póki żył, starał się wszelkimi siłami zapobiec konfliktowi niemiecko-rosyjskiemu.

Były jeszcze pomniejsze antagonizmy, jak włosko-austriacki o porty nad Adriatykiem czy między popieraną przez Rosję Serbią i Austrią. I właśnie z tego trzeciorzędnego antagonizmu

wykrzesano iskrę, która bezpośrednio spowodowała pożar pierwszej wojny światowej.

Dwudziestego ósmego czerwca 1914, podczas inspekcji niedawno anektowanej przez Austrię Bośni, w stołecznym Sarajewie zamordowano następcę tronu austriackiego Franciszka Ferdynanda i jego małżonkę. Zrazu wydarzeniu temu nie przypisywano zbyt wielkiej wagi. Ale Austria, dopatrująca się (zresztą nie bez przyczyny) inspiracji Serbii w tym zamachu, podyktowała jej trudne warunki w ultimatum i, upewniwszy się, że poprze ją sojusznicza Rzesza Wilhelma II, w równy miesiąc po zamachu rozpoczęła działania wojenne i wyzwoliła łańcuchowe działanie wcześniej zawartych sojuszów.

Za Serbią ujęła się Rosja, wobec czego Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji; za Rosją ujęła się Francja, a kiedy Niemcy walcząc przeciw Francji pogwałciły neutralność Belgii, Anglia stanęła po stronie Francji. Ponieważ zachodnie wojujące państwa miały swe kolonie, wojna toczyła się także w Afryce, kiedy zaś do wojny przystąpiły Turcja, Japonia i Stany Zjednoczone, konflikt na Bałkanach rozrósł się do rozmiarów wojny światowej, trwającej przeszło cztery lata.

Dla Polski zasadnicze znaczenie miały konflikty Austria-Rosja i Niemcy-Rosja. Trzy państwa zaborcze, które pilnowały trumny Polski, stanęły przeciwko sobie, więcej — prowadziły ze sobą wojnę. Taka kalkulacja układu politycznego już od dawna była gorącym życzeniem dalekowzrocznych polityków polskich.

Ale wojna trzech zaborców między sobą miała także ujemne strony: po pierwsze, toczyła się na ziemiach polskich, powodując ogromne zniszczenie kraju; po wtóre, Polacy musieli walczyć przeciwko sobie jako żołnierze zaborczych armii. Zaborcy, tak Rosjanie, jak i Niemcy, usiłowali pozyskać sobie Polaków, obiecując utworzenie autonomicznej Polski z terenów... zagarniętych ongi przez drugiego zaborcę.

W wyniku wojny padły trony trzech zaborców: jako pierwszy obalony został carat, następnie rozpadła się austro-węgierska monarchia Habsburgów, a 9 listopada 1918 zmuszony został do abdykacji Wilhelm II. Wcześniej, bo już w pierwszych dniach listopada 1917, obalony został w Rosji Rząd Tymczasowy, powstały w lutym 1917, po obaleniu cara. Przywódca Rewolucji Październikowej, Lenin, zredagował dekret o pokoju, wykluczający uznanie aneksji, zaś deklaracja z dnia 16 listopada 1917 głosiła prawo narodów Rosji, a więc i Polaków, do oderwania się i utworzenia samodzielnego państwa. Za tymi deklaracjami poszedł akt formalny z dnia 29 sierpnia 1918: unieważnienie traktatów rozbiorowych, zawartych ongi przez carat z Prusami i Austrią.

Ósmego stycznia 1918 prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson ogłosił swój program pokojowy w czternastu punktach, z nich punkt trzynasty przewidywał utworzenie niepodległego Państwa Polskiego.

Jedenastego listopada 1918 skończyła się okupacja. Powstała Niepodległa Polska. Dopiero piąte pokolenie Polaków dożyło spełnienia nadziei poprzednich czterech.

Na początku 1919 zebrała się w Paryżu konferencja pokojowa. Przedstawiciele czterech głównych mocarstw zachodnich — Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch, tzw. wielka czwórka — przejęły inicjatywę. Ale nawet wśród tej „wielkiej czwórki" zarysowała się sprzeczność interesów; zaczęły się targi. Francja, która poniosła w tej wojnie największe ofiary, czuła się najbardziej zagrożona przez militaryzm niemiecki i pragnęła mieć potencjalnego silnego sprzymierzeńca, którym mogła być tylko Polska. Anglia obawiała się hegemonii Francji w Europie, która zachwiałaby, jej zdaniem, „równowagę europejską". Nadto bała się, że zbytnio osłabione Niemcy mogą być podatne na idące z Rosji hasła rewolucyjne. Stany Zjednoczone popierały w tym raczej Anglię. Koszty takiej koncepcji mieli zapłacić sojusznicy Francji, przede wszystkim Polska.

Kiedy 29 stycznia 1919 tzw. Rada Najwyższa przystąpiła do obrad nad ustalaniem granic Polski, nie zadowoliła się relacją i wnioskami przedstawicieli, uznanego zresztą przez nią, Komitetu Narodowego, lecz powołała Komisję do spraw Polski z ludzi „niezaangażowanych", a więc nie-Polaków, pod przewodnictwem dawnego ambasadora francuskiego w Berlinie, J. Cambona. Komisja ta już w marcu 1919 przedstawiła wielkiej czwórce sprawozdanie z wnioskami przyznania Polsce całego Śląska Górnego wraz z zagłębiem węglowym aż po Opole, skrawków Śląska Dolnego, całej Wielkopolski, Pomorza z Gdańskiem oraz czterech powiatów z prawej strony Wisły, co niemal pokrywało się z żądaniami delegacji polskiej. Natomiast na Mazurach komisja zaproponowała plebiscyt. Tym propozycjom przeciwstawił się premier brytyjski i sprawił, że komisję rozwiązano i zamianowaną inną pod przewodnictwem również Francuza, generała Le Rond. Zgodził się jednak na przekazanie Polsce Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego, ale bez Gdańska, zarządzenie plebiscytu na Górnym Śląsku, na Warmii i na Mazurach.

Właśnie w tych dramatycznych dla Polski chwilach, kiedy żadna granica nie została ustalona, ewangelicy polscy odegrali szczególną rolę. Stara piastowska dzielnica, Śląsk Cieszyński, która przez sześć wieków odłączona była od macierzy, jako pierwsza podniosła swój głos, że chce należeć do Polski. Koło Polskich Teologów Ewangelickich na Śląsku Cieszyńskim już 31 października 1918 wysłało do Rady Narodowej w Cieszynie, do której należało 21 członków — w tym 7 ewangelików — deklarację z wyrazami hołdu, zaś do generalnego superintendenta ks. Juliusza Burschego życzenie i nadzieję rychłego połączenia z Kościołem Ewangelicko-Augsburskim w Warszawie.

Natomiast 3 grudnia 1919 polskie duchowieństwo ewangelickie w Cieszyńskiem wydało odezwę do „...każdego, kto będzie radził i stanowił o losie ludów i narodów w nowym po-

rządku świata", aby nie zapominał o polskich ewangelikach na Śląsku, „dotąd austriackim i pruskim", w Poznańskiem, we Wschodnich Prusach i na Pomorzu, gdzie mieszka lud polski, w znacznym odsetku ewangelicki, który pragnie .....powrócić do domu naszego ojcowskiego, do przyrodzonej naszej ojczyzny i połączyć się z braćmi według wiary i wyznania". Memoriał ten, podpisany przez 23 księży ewangelickich, przetłumaczony na język francuski i angielski, doręczony został mężom stanu, którzy mieli ustalać granice naszego państwa.

Na prośbę Rady Narodowej w Cieszynie i z upoważnienia rządu polskiego, w dniu 20 grudnia 1918 ks. Juliusz Bursche, jako zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, po uroczystym nabożeństwie w kościele Jezusowym w Cieszynie przyjął ewangelicko-augsburskie zbory na Śląsku Cieszyńskim pod jurysdykcję konsystorza w Warszawie.

Na wezwanie Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu i z mandatu Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, oraz Ignacego Paderewskiego — ks. biskup Bursche jedzie do Paryża, by osobistościom politycznym, których głos miał zaważyć przy ustalaniu naszych granic, wręczyć opracowany przez siebie memoriał, uzasadniający słuszność i konieczność przyłączenia Śląska Cieszyńskiego, Śląska Pruskiego i Mazowsza Pruskiego do Polski, bo są tam ewangelicy, rodzimi Polacy, którzy powinni wrócić do Polski.

Już w drodze do Paryża ks. Bursche szuka możliwości nawiązania kontaktów z wpływowymi ludźmi, by ich zainteresować losem polskich protestantów. W szwajcarskim Bernie konferuje z ambasadorem Stanów Zjednoczonych i z sekretarzem ambasady. W Paryżu wprost z dworca udaje się do siedziby prezydenta Wilsona, by w dłuższej rozmowie z osobistym jego sekretarzem wręczyć memoriał i otrzymać solenne przyrzeczenie, że prezydent zostanie wyczerpująco poinformowany o całej sprawie. Dalej ks. Bursche odwiedził kolejno członków Ententy, informując słabo orientujących się członków konferencji. Towarzyszyli mu reprezentanci ewangelików z dwóch przeciwnych krańców Polski: profesor Józef Buzek, reprezentujący ewangelików śląskich, oraz Wawrzyniec Puttkamer, prezes Wileńskiego Synodu Reformowanego. Podczas tych wszystkich spotkań ks. Bursche i jego towarzysze usiłowali swoich rozmówców przekonać o konieczności przyłączenia tych ziem bez plebiscytu. Dla poparcia tych żądań zgłosili się do komisji: Kazimierz Badura oraz Bronisława z Badurów Przykutowa, syn i córka ostatniego polskiego pastora w Międzyborzu, na Śląsku Pruskim, ks. Jerzego Badury.

Mimo życzliwości prawie wszystkich rozmówców, Anglicy przeforsowali swój plan. Ustalono jedynie granice między Polską a Niemcami w Wielkopolsce i na Pomorzu. Utworzono pod protektoratem Ligi Narodów Wolne Miasto Gdańsk, zarzewie nieustannych konfliktów między Polską a Niemcami, zarządzono plebiscyt na Górnym Śląsku i na Mazurach, a sprawa granicy na wschodzie pozostała otwarta. Dwudziestego ósmego czerwca 1919, w piątą rocznicę strzałów w Sarajewie, podpisano traktat pokojowy w Wersalu, który pozostawił tyle otwartych a konfliktowych spraw, że go nazwać można tylko traktatem kończącym pierwszą wojnę światową, ale nie traktatem zapewniającym pokój: przeciwnie, jego ustalenia oraz nieustanna pobłażliwość Anglii i Francji wobec Niemiec systematycznie łamiących wszystkie postanowienia traktatu wersalskiego — przyczyniły się do wybuchu drugiej wojny światowej i do brutalnego podboju przez Hitlera prawie całej Europy. I znów Polska musiała zapłacić najwyższą cenę ze wszystkich państw podbitych.

Ale ta Polska — powstała po roku 1918 po wielkiej niewoli, mimo wielu niedomagań i w życiu gospodarczym, i w polityce, tak wewnętrznej, jak i zagranicznej — dowiodła swego poczucia honoru i niezłomności. Polacy walczyli w kraju jako żołnierze podziemia, poza krajem jako żołnierze sojusznicy wielkiej antyhitlerowskiej koalicji. Polska odrodziła się, swego honoru nie splamiła.

Uprzejmie prosimy

o odnowienie prenumeraty

„JEDNOTY" na rok 1979

Wprowadzenie w urząd Ewangelicko-

W dniu 1 października 1978 roku miała miejsce w Warszawie uroczystość wprowadzenia w urząd nowego biskupa Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce — ks. Zdzisława Trandy (ur. 18 grudnia 1925), wybranego na to stanowisko przez Synod Kościoła wiosną tego roku. Kadencja biskupa w polskim Kościele reformowanym trwa 10 lat. Poprzednik ks. Zdzisława Trandy w tym urzędzie — ks. dr Jan Niewieczerzał — był wybierany przez Synod trzykrotnie. Ze względu jednak na zły stan zdrowia musiał przed upływem trzeciej kadencji zrezygnować ze swojej funkcji, którą sprawował przez blisko 25 lat (pełna rocznica przypada w listopadzie br.), zapisując w tym ćwierćwieczu kolejną bogatą kartę w dziejach Kościoła.

Uroczystość wprowadzenia w urząd nowego biskupa odbywała się podczas niedzielnego nabożeństwa w warszawskiej świątyni reformowanej, gdzie zgromadzili się nie tylko współwyznawcy z Warszawy, ale także bracia i siostry ze wszystkich zborów i diaspory. Szczególnie liczna grupa przyjechała z parafii w Zelowie, w której ks. bp Zdzisław Tranda pracuje bez przerwy od chwili swej ordynacji, tj. od ponad

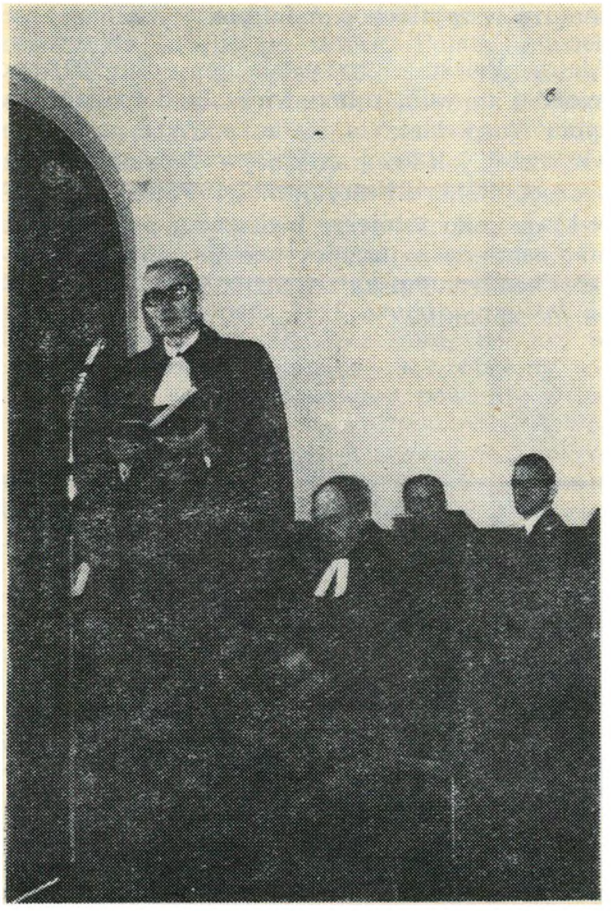

nowego biskupa Kościoła Reformowanego

25 lat. Ponadto licznie przybyli na nabożeństwo warszawscy ewangelicy augsburscy i członkowie innych Kościołów.

Przy dźwięku dzwonów, rozbrzmiewających tego dnia szczególnie uroczyście, w prezbiterium zasiedli duchowni reformowani, delegacje wszystkich Kościołów chrześcijańskich — także Kościoła Rzymskokatolickiego — oraz goście zagraniczni i członkowie Konsystorza. Specjalnie na uroczystość przyjechał z Genewy generalny sekretarz Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych pastor Edmond Perret, przedstawiciel Kościoła Ewangelickiego w Nadrenii ks. Jürgen Schroer, przedstawiciel Kościoła Ewangelickiego (unijnego) w NRD prezes Milker i inni.

Aktu introdukcji przez nakładanie rąk dokonał ks. bp Jan Niewieczerzał w asyście ks. ks. Bogdana Trandy i Jerzego Stahla. Następnie kolejno podchodzili duchowni reformowani i innych wyznań, aby udzielić błogosławieństwa i przekazać życzenia nowemu biskupowi.

Kazanie, jakie wygłosił podczas tego nabożeństwa ks. bp Zdzisław Tranda, oparte na tekście Ew. Jana 21:15—18, głęboko poruszyło zgro-

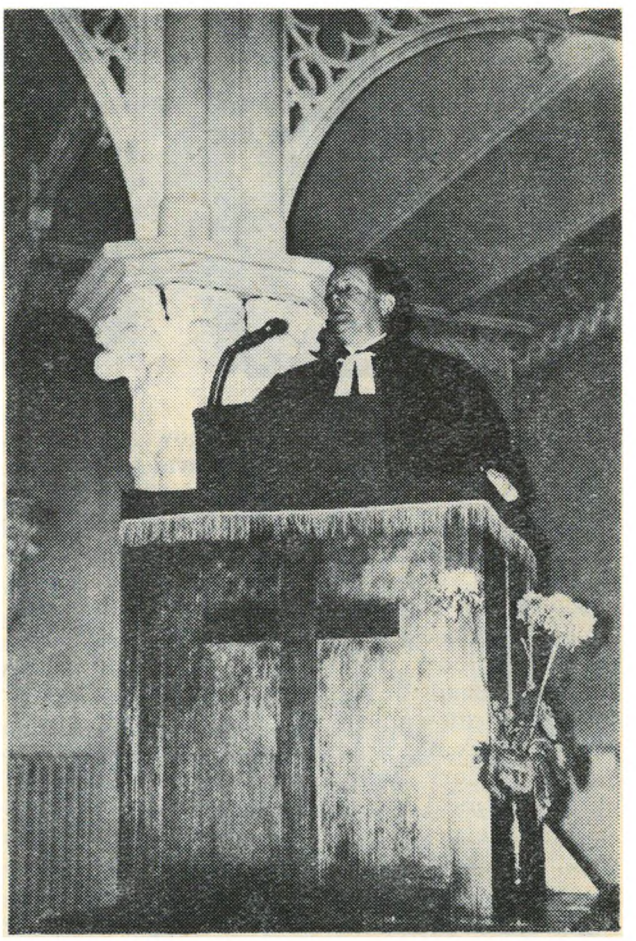

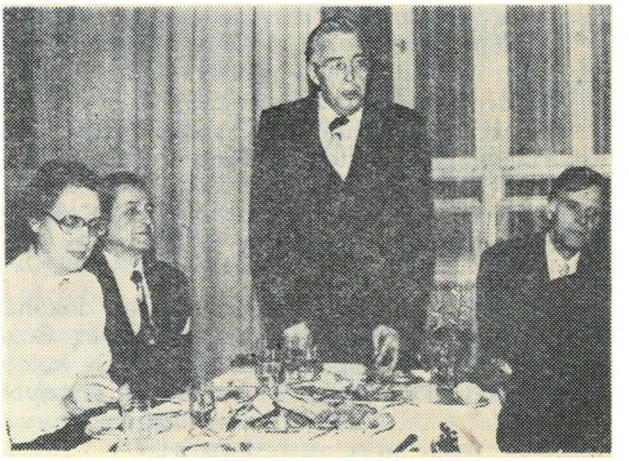

1. Część liturgiczną prowadzi ks. B. Tranda
2. Ks. bp Jan Niewieczerzał wita gości
3. Akt wprowadzenia w urząd
4. Życzenia składa abp Bazyli, metropolita Kościoła Prawosławnego
5. Od rodziny Kościołów reformowanych życzenia składa ks. dr Edmond Perret (z lewej), gen. sekr. Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych; tłumaczy ks. B. Tranda
6. Ks. bp Zdzisław Tranda na kazalnicy
7. Na wieczornym przyjęciu życzenia od bratniego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego składa ks. prof. Woldemar Gastpary
8. Rolę gospodarza spełnia ks. bp Jan Niewieczerzał
9. Siedzą od lewej: J. Milker, p. B. Niewieczerzałowa, ks. bp J. Niewieczerzał, dyr. T. Dusik, ks. bp Z. Tranda, p. J. Trandowa
10. Polską Radę Ekumeniczną reprezentuje ks. prof. Witold Benedyktowicz

madzeniem. Całą uwagę zboru mówca odwrócił bowiem od swojej osoby i skierował ją ku Osobie najważniejszej — ku Jezusowi Chrystusowi, prawdziwemu i jedynemu Panu Kościoła.

Tak przygotowana społeczność przystąpiła do sakramentu Wieczerzy Pańskiej, którą służyli polscy księża reformowani i ks. Edmond Perret. Głęboką radością i wzruszeniem napawał fakt, że wśród ludzi przybliżających się do Stołu Pańskiego znaleźli się nie tylko członkowie Kościoła reformowanego, ale także wierni innych wyznań. Tak oto Osoba Jezusa Chrystusa przełamuje bariery konfesyjne, organizacyjne, administracyjne i wszelkie inne. W Nim wszyscy stajemy się prawdziwie ludźmi wolnymi, a słowo „brat" zdobywa pełne pokrycie.

Bardzo piękną część nabożeństwa stanowiła muzyka. Kilka pieśni kościelnych odśpiewał chór parafii zelowskiej po czesku, dwukrotnie śpiewał kwartet Filharmonii Narodowej, na organach grał pan Tadeusz Kaflik, a na skrzypcach — pan Mirosław Dąbrowski.

Bezpośrednio po nabożeństwie setki osób, które chciały osobiście złożyć życzenia nowemu biskupowi, udały się do budynku parafialnego. Nie dla wszystkich starczyło miejsca. Z zatłoczonego hallu na parterze długi korowód posuwał się schodami prowadzącymi na piętro, do sali parafialnej. Ci, którzy dotarli tam pierwsi, musieli po złożeniu życzeń zejść na dół, aby ustąpić miejsca następnym.

Panie z Kolegium Kościelnego i Sekcji Ewangelizacyjno-Społecznej w miarę możliwości technicznych częstowały gości herbatą i słody-

(Dokończenie na s. 20)

CELINA BOROWA

Wspomnienia tamtych dni sierpniowych

Urodziwe było lato tego roku. Drzewa uginały się pod ciężarem soczystych owoców. Kwiaty pachniały. Górą niosła się woń przekwitających lip. Powietrze rozgrzane do białości stało nieruchome. Upał doskwierał i działał omdlewająco, a jednak... Pozorny spokój i cisza wróżyły nadciągającą burzę po pięciu latach straszliwej okupacji hitlerowskiej.

Oto wybiła godzina „W" (5 po południu) na dziejowym zegarze Warszawy, w jej krwawych zmaganiach z losem — 1 sierpnia 1944 roku. Każdym nerwem odczuwaliśmy, że Podziemie wre i szykuje się do śmiertelnego skoku. Ale istniała zmowa milczenia. Wszyscy tego dnia pracowali jak zwykle, wychodzili z domów podążając w różnych kierunkach, jak gdyby nigdy nic... Szli w pełni lat, szli młodzi i niemal dzieci — szare partyzanckie szeregi. Szli chłopcy i dziewczęta „w ogniach, szelestach, zachwyceniu, śpiewie", niosąc w ofierze swoje młode życie na „sierpniowe żniwa". Z pokorą i poświęceniem — za zdeptany, zniewolony kraj, sponiewieraną godność ludzką, za obozy i krematoria, za Ghetto i śmierć wspaniałego człowieka — Janusza Korczaka i jego dzieci z sierocińca.

Pamiętam aż nadto dobrze zagładę Ghetta w roku 1943, około świąt Wielkanocy. Z cmentarza ewangelicko-reformowanego widać było unoszące się dymy i snopy iskier. Kartki z hebrajskich modlitewników i... kartki z Trylogii Sienkiewicza fruwały jak osmalone ptaki nad drzewami i opadały na cmentarne alejki. Zachowałam je troskliwie, ale niestety, spłonęły razem z moim biurkiem i domem w rok później podczas Powstania Warszawskiego. Pomyślałam wtedy: teraz giną Żydzi, potem przyjdzie kolej na nas — Polaków. Na naszym cmentarzu ukrywali się Żydzi w latach okupacji. Nadszedł wreszcie dzień gniewu za przelaną krew, za złamany krzyż i ukrzyżowanego po raz wtóry Boga.

Wiedzieliśmy — mieszkańcy domku przy cmentarzu ewangelicko-reformowanym u zbiegu ulic Żytniej i Młynarskiej — że musimy ukryć się w obszernym i pustym grobowcu, który chronił nas przed niemieckimi bombami jeszcze w 1939 (położenie grobu: pod murem od ul. Młynarskiej, kw. A, rz. 1, gr. 2; wymiary: 6,30 × 5,30 m). Było nas 7 osób: mój mąż i ja, nasza gosposia, jej koleżanki, które miały odcięty powrót do domów, i w ostatniej chwili, dołączyła staruszka, która nie dojechała już na Powązki do swoich wnuków i musiała wysiąść na Okopowej. Powstańcy skierowali ją do nas. Przenieśliśmy do grobowca najpotrzebniejsze rzeczy, łącznie z materacami, na których spaliśmy w nocy.

Domek został oddany do dyspozycji powstańców w dniu 1 sierpnia o godz. 4.30, kiedy mała, szara grupka ludzi zjawiła się w furtce cmentarnej. Przyszli z butelkami benzyny i w jednej chwili zajęli pozycje w obu oknach od ul. Młynarskiej w oczekiwaniu na niemieckie samochody.

Taki był początek bohaterskiej walki i obrony w rejonie cmentarza ewangelicko-reformowanego. A zapowiadała się walka ciężka i nieobliczalna w skutkach. Byliśmy jednak wszyscy dobrej myśli, gdy coraz więcej zaczęło napływać Szarych Szeregów z batalionów „Zośki" i „Parasola", a na barykadzie róg Żytniej i Młynarskiej zatrzepotała biało-czerwona chorągiew.

Niestety, radość nie trwała długo. Drugiego sierpnia zginął Feliks Alaburda, ps. „Jur" — żołnierz AK, starszy strzelec, obrońca Warszawy w 1939. Dostał postrzał w głowę. Złożono go w kaplicy cmentarnej na podłodze. Struga krwi sączyła się po skroni aż na policzki. Przed nim zabito młodą dziewczynę o jasnych warkoczach. Nie znałam jej nazwiska. Feliks Alaburda został pochowany na cmentarzu w obecności kapelana i kilku kolegów (położenie grobu: kw. 4, rz. 5, gr. 4). Pierwszy raz w życiu, i chyba ostatni, byłam świadkiem pogrzebu podczas działań wojennych i nalotów. Był obecny także mój mąż, redaktor prasy podziemnej. Pogrzeb cichy, bez przemówień i mnóstwa kwiatów. Wystarczyły polne kwiatki, które wrzuciłam do mogiły z garścią ziemi.

W miarę upływu dni, które się dziwnie dłużyły, agresywność Niemców wzrastała. Zaczęły nękać nas naloty w samo południe, kiedy upał nie pozwalał oddychać, a pragnienie paliło. Na twarzach starszyzny pojawił się niepokój... Wehrmacht zbierał siły do generalnego ataku na Warszawę, a pomoc dla powstańców nie nadchodziła. Nikt nie wiedział dlaczego.

Dnia 6 sierpnia zaczął się atak od strony ul. Długosza. Wszystko, cokolwiek nadawało się na barykady, zostało wyniesione pod mury cmentarza. Nacierające „tygrysy" waliły z potężną siłą. Powstańcy bronili się zaciekle i nieustępliwie. Siedząc w grobowcu nie mogliśmy ocenić całej sytuacji. W tym czasie musiał prawdopodobnie spłonąć nasz dom. Późnym wieczorem łuna gorzała na Woli. Najwidoczniej Niemcy palili wszystko, co popadło. Powstańcy zaczęli wycofywać się w kierunku Karolkowej. Zbliżał się smutny i tragiczny koniec obrony na cmentarzu. Już stało się jasne, że powstańcy, walcząc, będą się cofali w kierunku Starówki.

Krążyła pogłoska, że w tyralierze, idącej w głąb cmentarza od ul. Żytniej, była Krysia Wańkowiczówna. Ślad po niej zaginął. Zrozpaczona matka rozkopała wiele mogił... Na próżno!

Ostatnia noc. Pukanie w płytę. Na ten umówiony znak otworzyliśmy. Przed nami stał żołnierz w panterce z liściem kasztana na hełmie. „Odchodzimy" — rzekł. Nieodwołalny wyrok. Zabrał resztę chleba, która była w grobowcu — pożegnaliśmy się i... odszedł, kładąc na moją prośbę blaszany wieniec na drzwiach grobowca. Właściwie byliśmy na progu śmierci bez możliwości walki i obrony. Zostaliśmy w wielkiej trwodze, bez nadziei wyjścia. Swoi opuszczali nas... może na zawsze.

Siedzieliśmy w kryjówce dobrze zamaskowanej. Nikomu z Niemców nie przyszło na szczęście do głowy, że pod żelazną płytą grobowca istnieje jakieś życie, jak tlejący ogarek. Byliśmy przez 9 dni bez wody i powietrza, bo nie można powietrzem nazwać gęstej mgły, wiszącej jak welon pod sklepieniem. Małe

koty, które były z nami, piły nad ranem krople spadające z drzwi żelaznych. Konwie stały puste, gdyż nie do pomyślenia było wychodzenie na powierzchnię. Odłamki i kule świstały. Ani odrobiny wody do picia... Zazdrościłam trawkom w otworach wentylacyjnych, zupełnie zarośniętych. Chwiały się z wiatrem i prężyły ku słońcu. A tu mrok i stężała wilgoć. Jakaś dziwna świadomość śmierci za życia. Majaki snuły się pół we śnie, pół na jawie: barykady, powstańcy, mały chłopczyna na warcie w bramie... Hełm zsunął mu się na oczy — trochę chyba za duży... Ranny w nogę odłamkiem... Strużka krwi. Nocą panował jaki taki spokój, ale o świcie zaczynało się piekło...

Z ciemnego kąta grobowca dolatywał szept modlitwy: O Jezu Chryste, zmiłuj się! Boże Miłosierny, Matko Przenajświętsza... Ratuj nas! Ciężkie westchnienia, szloch i łzy, spływające ciurkiem po zmarszczonej twarzy staruszki, która pragnęła dostać się do swoich wnuków — na Powązki.

— Babciu, nie dojdziesz! Zostań z nami.

— Muszę, muszę — one tam same!

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie..." Coraz ciszej i ciszej...

Zaczęło się. Przeraźliwy huk, strzelanina — „Tygrysy" podjechały pod sam mur od ul. Młynarskiej. Mury się zatrzęsły... głowa pękała.

Boże Wielki i Wszechmocny, dlaczego pozwolisz, żeby ludzie tak ginęli... Czy świat przez to będzie lepszy i bardziej sprawiedliwy?

Naraz z okrzykiem „Verfluchte Polen" Niemcy zaczęli przeskakiwać przez mur cmentarny, a więc nad naszymi głowami. Straszliwa pogoń...

Szóstego sierpnia oba cmentarze ewangelickie padły.

Co znaczy ta cisza, po dwóch dniach walki? Nie do wiary! Wyjść czy nie? Odważyć się, a jak są w pobliżu, to rzucą granat... i koniec?

Postanowiłam 15 sierpnia około południa unieść płytę. Wyszłam pierwsza, chwiejąc się na nogach. Słońce prażyło i oślepiało. Cicho, jak makiem zasiał. W powietrzu unosił się zapach spalenizny. Na ulicy saperzy niemieccy zwijali druty. Podeszłam do nich. Byli zaskoczeni i zdziwieni. Tych ludzi nic przerazić nie mogło. Żywy człowiek, czy zjawa? Zbliżyli się do grobowca, zajrzeli, machnęli ręką i tyle ich widzieliśmy.

Mówiono mi, że na alei cmentarnej leżał martwy chłopak w panterce — może ten sam z liściem kasztana? Obok stała rozbita sanitarka.

W międzyczasie pobiegłam z dziewczętami do Przytułku dla Rzemieślników na drugą stronę ulicy Młynarskiej, żeby zdobyć coś do picia i jedzenia. Widok był straszny: w ogrodzie trupy wśród kwiatów i drzew owocowych: dojrzałe gruszki spadały z głośnym klapnięciem na ziemię. Na górne piętra dziewczęta nie pozwoliły mi wejść: na łóżkach leżały zwłoki pomordowanych starców.

Wróciłyśmy na cmentarz, niosąc pełne konwie, w nadziei, że będziemy mogli przeżyć jakiś czas... Nagle przez otwartą bramę wjechał na rowerze własowiec. Chciał do nas strzelać. Wyjaśniłam mu, że byliśmy ukryci w grobowcu, dlatego nie mogliśmy wywiesić białych chustek na znak poddania się. „Dobrze — warknął — ale jak wrócę i zastanę was tu jeszcze, wszystkich rozstrzelam". Odjechał.

W pośpiechu opuszczaliśmy cmentarz. Wychodziliśmy w nieznane, poprzez kartofliska, trupy i zgliszcza, niosąc na plecach cały swój dobytek; w stronę miasta jechała niemiecka generalicja — zwycięska i wymuskana, pełna pogardy i pychy — mijając nas, nędzarzy bez domu, bez ziemi, ale z poczuciem dumy narodowej i z wiarą w triumf sprawiedliwości.

PIOTR STACHIEWICZ

Parasol

Powstanie Warszawskie

ROZWINIĘCIE I PIERWSZE WALKI

...W dniu 1 sierpnia 1944 r., umownie — powiedzmy — o godzinie „W", tj. 17.00 batalion „Parasol" zaczął rozlokowywać się spokojnie w obejmującym szereg zabudowań Domu Starców, położonym u zbiegu ulic Karolkowej i Żytniej, zabezpieczając swoje miejsce postoju wzdłuż zachodniej granicy cmentarzy ewangelickich (luterańskiego i kalwińskiego), na północy w bezpośredniej styczności z oddziałami „Pięść", a następnie „Zośka", po stronie południowej sąsiadując z oddziałem „Czata", a dalej „Miotła". Dowództwo zgrupowania „Radosław" wraz ze sztabem ppłk. „Radosława" miał „Parasol" najpierw przed sobą przy ul. Młynarskiej, następnie „za plecami", po stronie wschodniej, przy ul. Okopowej, a w dalszej kolejności siedzibę Komendy Głównej AK przy ul. Dzielnej w fabryce Kamlera.

...Dom Starców będący miejscem postoju „Parasola" składał się z szeregu zabudowań, z których część stanowiła narożnik ulicy Żytniej i Karolkowej, pozostałe znajdowały się w głębi terenu, osłonięte od obu ulic.

...Likwidacją tych oddziałów niemieckich zajęła się część zgrupowania „Radosław", a w ramach niej drużyna „Cyklona" z II kompanii „Parasola". Stoczona wtedy walka była pierwszym bojowym działaniem „Parasola" w czasie Powstania Warszawskiego.

...Natomiast w mp.* batalionu panował przez pierwszy i drugi dzień Powstania spokój pozwalający żołnierzom zachłysnąć się euforią jawności własnych, tak długo tłumionych uczuć.

...Natarcia niemieckie: wzdłuż ulic Górczewskiej i Wolskiej osiągnęły już 2 sierpnia punkty najbardziej wysunięte na wschód w głąb Warszawy, oddalone nie więcej niż 200 m od głównej linii ubezpieczeń batalionu „Parasol" oraz ok. 400—500 m od mp. dowództwa „Parasola" w Domu Starców. Bezpośrednia styczność z nieprzyjacielem pozwoliła sprecyzować zasadniczy plan działań i zadanie dla batalionu sprowadzające się do obrony i utrzymania trzech kolejnych fragmentów linii rokadowych, pierwsza: Szlenkierów — Staszica, druga: Młynarska, i trzecia: Karolkowa w

* miejsce postoju — red.

odcinkach ograniczonych od południa ul. Wolską, od północy ul. Długosza. Zadanie to miało na celu powstrzymanie spodziewanego natarcia niemieckiego, które zarysowało się już w dniu 2 sierpnia, a które na dalsze dni można było przewidywać na kierunkach — ulicami Górczewską i Lesznem oraz ulicą Wolską. Zadanie to stanowiło ubezpieczenie i obronę całego lewego skrzydła zgrupowania „Radosław".

...Natarcie niemieckie w dniu 3 sierpnia zostało powtórzone dwukrotnie.

...Koniec walk z natarciem niemieckim jest równocześnie początkiem pierwszego nalotu niemieckiego.

...Padają pierwsze bomby na Dom Starców i placówki „Parasola" znajdujące się na cmentarzach. Nalot ten w konsekwencji przynosi pierwsze poważne straty w batalionie. Kilku zabitych, kilkunastu rannych.

Pod koniec dnia 3 sierpnia dowództwo batalionu „Parasol" postanawia wysunąć placówki oddziału bardziej na południe. I kompania grupą „Narocz" obsadza tzw. pałacyk Michla, usytuowany na ul. Wolskiej pod nr 40, oraz dom znajdujący się po drugiej stronie ul. Wolskiej pod nr 39. Jest to dom sąsiadujący z jednej strony z kaplicą szpitala św. Stanisława, z drugiej z ogrodzeniem zabudowań fabryki papieru Franaszka. Obie placówki ustawione cęgowo na przedpolu barykady przy ul. Wolskiej róg Młynarskiej mają za zadanie ryglować do niej dostęp równocześnie współdziałając z grupą „Czarnego" w kierunku północnym i dalej jeszcze z grupą „Andrzeja", w zabezpieczeniu przed wdarciem się Niemców w kierunku narożników Młynarskiej z Lesznem i Żytnią.

Dzień 3 sierpnia przyniósł w konsekwencji walk znaczne zużycie amunicji całego zgrupowania „Radosław", które dysponowało już tylko jej resztkami, bowiem saldo zdobyczy i wystrzelań było mimo wszystko ujemne. Poprawił się natomiast stan wyposażenia w broń, odzież mundurową i żywność, głównie zdobyte w dużych magazynach niemieckich na Stawkach. Oczekiwane zrzuty alianckie nie nastąpiły. Do oddziałów na Woli doszedł (...) odwód Komendy Okręgu (...), który rozlokował się na styku cmentarza ewangelickiego i żydowskiego.

Początek walk 4 sierpnia charakteryzował się od świtu silnym ostrzałem Woli, w rejonie której pod najcięższym ogniem znalazły się cmentarze ewangelickie, Dom Starców, skrzyżowanie ulic Młynarskiej z Żytnią, Lesznem i Wolską...

...Późny wieczór i noc z 4 na 5 sierpnia upływa w batalionie na naprawianiu uszkodzonych bombardowaniem barykad, w szczególności zupełnie rozbitej barykady na skrzyżowaniu Młynarskiej i Żytniej...

OBRONA WOLI (5–9 VIII 1944)

...Natarcie niemieckie rusza 5 sierpnia około godz. 6 rano po silnym nalocie lotniczym. Centrum natarcia stanowią Wolska i Górczewska.

...Obrona Wolskiej 39 i 40, Pałacyku Michla, trwała 9 godzin i kosztowała 16 żołnierzy.

...Następuje następny nalot lotniczy, powodujący dalsze straty w ludziach i sprzęcie, a ponadto rozbijający barykady na przedpolu cmentarzy ewangelickich.

...W godzinach przedwieczornych III kompania „Parasola" wchodzi w skład części zgrupowania „Radosław", prowadzącej kontrnatarcie z podstaw wyjściowych wzdłuż muru cmentarzy ewangelickich w kierunku ulicy Płockiej, ulicami Długosza i Gostyńską. Przeciwnatarcie załamuje się i, po zdecydowanym kolejnym natarciu niemieckich oddziałów Szmidta, zostaje odrzucone aż do pozycji wyjściowych.

...O świcie 6 sierpnia batalion zajmuje następujące pozycje: I kompania pod dowództwem „Rafała" obsadza cmentarz kalwiński; II kompania pod dowództwem „Kopcia" zajmuje stanowiska na przedpolu ogrodów szpitala Karola i Marii, opierając się tyłem o ul. Żytnią, część jej pod dowództwem „Wacka" zajmuje kompleks budynków przy Żytniej wraz z jednym z zabudowań Domu Starców; III kompania pod dowództwem „Lota" zajmuje południowy rejon cmentarza ewangelickiego (luterańskiego).

...Od wczesnych godzin rannych rozpoczęło się przygotowanie ogniowe natarcia niemieckiego. Nawała ognia dział czołgowych, przeciwpancernych, haubic pociągu pancernego, granatników i moździerzy lokowała ładunki przede wszystkim na cmentarzu i w skrzyżowanie Żytniej z Młynarską i Karolkową.

Pierwsze natarcie niemieckie, wsparte czołgami od strony ul. Młynarskiej, zostaje odparte. Podobnie powraca na postawy wyjściowe natarcie idące ulicą Długosza. Silny ostrzał artyleryjski zostaje ponowiony. Przed następnym atakiem niemieckim dowódca batalionu kpt. „Pług" przeprowadza inspekcję stanowisk „Parasola" na cmentarzu kalwińskim, udzielając szczegółowych instrukcji dotyczących obrony i sposobu powstrzymania natarcia niemieckiego. Rozważa z dowódcami odcinków możliwość likwidacji specjalnie dokuczliwego i dobrze wstrzelonego stanowiska granatnika, który z rejonu szpitala Karola i Marii celnie razi stanowiska oddziału. Decydują się nawet, gdyby nie było innego sposobu, stracić cenny pocisk do piata i zlikwidować nim to stanowisko. Trzeba jednakże ustalić jego położenie i mieć je na celowniku. W tym celu kpt. „Pług" i por. „Wacek" udają się do tego budynku Domu Starców, którego ściana szczytowa wychodzi na ul. Żytnią, i rozpoczynają od parteru obserwację ogrodu szpitala Karola i Marii, tzn. domniemanego rejonu stanowiska granatnika. Całość zabudowań Domu Starców znajduje się w tym czasie pod obstrzałem niemieckim i prowadzenie rozpoznania z okien jest nadzwyczaj ryzykowne. Posuwają się kolejno piętrami ku górze, usiłując z każdej kondygnacji ustalić stanowisko niemieckie. Na drugim piętrze kpt. „Pług" na mgnienie oka wychyla się z okna, co wystarcza na trafienie go.

Obronę cmentarza kalwińskiego w myśl wytycznych kpt. „Pługa" organizuje „Jeremi". Niemcy na wszystkich kierunkach równocześnie rozpoczynają wstępne natarcie wsparte czołgami. „Parasol" opuszcza barykadę na skrzyżowaniu ulic Młynarskiej i Żytniej, całkowicie rozbitą przez pociski dział czołgowych. Stanowisko obrony pod dowództwem „Gryfa" przenosi się do narożnego domu obok barykady, stąd z gniazd rkm i piata prowadzi ogień w kierunku mrowia piechoty niemieckiej posuwającej się za czołgami. Czołgi stają — jeden zostaje trafiony — choć nie zaprzestają strzelania, piechota zapada pod murami obu stron ulicy Młynarskiej. Ogień niemiecki przenosi się na stanowiska placówki „Parasola" we wspomnianym budynku. Nie trwa długo, gdyż dom tuż przed całkowitym rozbiciem i odcięciem grupy od oddziału trzeba opuścić. Prawe skrzydło tego samego natarcia niemieckiego spycha równocześnie kompanię dowodzoną przez „Kopcia" z przedpola ulicy Żytniej do Domu Starców. Parę godzin trwa obrona Domu Starców,

lecz i stamtąd II kompania musi ustąpić. Natarcie grupy Schmidta ogniem broni ciężkiej rozbiło zachodni mur cmentarza ewangelickiego (luterańskiego) i atakiem piechoty zmusiło III kompanię „Parasola" do utworzenia linii obronnej wśród grobów już na samym cmentarzu. Przez chwilę broni się jeszcze bunkier zrobiony z płyt chodnikowych, spiętrzonych przy murze cmentarnym przez „Kiera", ale i z niego po chwili nic nie zostaje. III kompania wśród grobów cmentarza luterańskiego, I i II kompania wśród grobów cmentarza kalwińskiego bronią każdego metra wej i natarć, wszystkie trzy kompanie „Parasola" zostają spychane w głąb cmentarzy. Straty w kompaniach są olbrzymie, nawet w porównaniu do walk poprzednich ...We wczesnych godzinach popołudniowych 6 sierpnia, po 8 godzinach niemieckiej nawały ogniowej i natarć, wszystkie trzy kompanie „Parasola" zostają zepchnięte do zabudowań wschodniej strony ulicy Karolkowej, a III kompania nawet do ulicy Mireckiego. Oba cmentarze znajdują się w rękach niemieckich. Następuje chwilowa przerwa w intensywności działań. Niemcy odpoczywają, zgrupowanie „Radosława" przegrupowuje się. „Parasol" (...) wycofany zostaje na noc do baraków na Gęsiej. Pozycje jego zajmuje „Zośka" i w brawurowym kontrnatarciu prowadzonym w godzinach przedwieczornych 6 sierpnia (...) z powrotem opanowuje oba cmentarze.

...O świcie dnia 7 sierpnia trzy kompanie „Parasola" powracają z powrotem na linię walki i obsadzają cmentarze ewangelickie. I kompania pod dowództwem „Rafała" obsadza zachodni kraniec i południowy narożnik cmentarza kalwińskiego na styku z ulicą Młynarską, z kierunkiem ogniowym na plac Opolski. II kompania pod dowództwem „Wacka" obsadza cmentarz ewangelicki (luterański) również od strony zachodniej wraz z narożnikiem północnym i barykadą znajdującą się na styku północno-zachodniego narożnika cmentarza i ulicą Ostroroga. Stanowiska ogniowe kompanii zostają umocnione w prowizorycznych bunkrach przylegających do muru cmentarnego. III kompania pod dowództwem „Lota" zajmuje stanowiska w rejonie cmentarza kalwińskiego w jego części południowej, wzdłuż rozbitego muru cmentarnego od strony ulicy Żytniej wraz z narożnikiem cmentarza od strony Żytniej i Karolkowej, z polem ostrzału na zajęte przez Niemców niektóre zabudowania Domu Starców.

...Dla wiązania jednak sił powstańczych od strony linii zachodnich i południowo-zachodnich już w godzinach rannych rusza natarcie piechoty niemieckiej pod osłoną czołgów na pozycje I i III kompanii „Parasola" od strony Żytniej, Młynarskiej i Karolkowej. Kompanie znajdują się wyłącznie w obronie, dotkliwy brak amunicji nie pozwala na jakiekolwiek działania zaczepne lub wypady. Czołgi niemieckie wdzierają się na teren cmentarza kalwińskiego od strony ulicy Żytniej. Piechota zostaje zatrzymana i celnym ogniem zmuszona do zapadnięcia w budynkach naprzeciwko południowej strony cmentarza. W międzyczasie zastępca dowódcy III kompanii „Zabawa" z niewielką grupą żołnierzy zwalcza przede wszystkim butelkami zapalającymi czołgi, które zmusza do zawrócenia. Natarcie niemieckie zostało powstrzymane, a własne pozycje obronne utrzymane.

Około godz. 14.00 następuje silny nalot lotniczy... Zrzucają bomby na teren obu cmentarzy, w szczególności na południową część cmentarza kalwińskiego, rażąc nawet pozycje własnej piechoty. W trakcie tego nalotu „Jeremi" wycofuje I i II kompanię z terenu cmentarza kalwińskiego, a równocześnie kompania II przegrupowuje się i wysuwa swoje przednie stanowiska do penetracji tego cmentarza. Cmentarz kalwiński pozostaje ziemią niczyją. Nim „Jeremi" zdążył po nalocie obsadzić ponownie wyznaczone stanowiska na tym cmentarzu, następuje kolejne natarcie niemieckiej piechoty, wsparte 2 czołgami, i w jego wyniku cmentarz kalwiński znalazł się w rękach niemieckich. Na to, by przywrócić pod koniec dnia 7 sierpnia stanowiska zajmowane o świcie tego dnia, trzeba było kontratakować. Około godz. 18.00 część kompanii II frontalnie z północy na południe, równoległe do ulicy Młynarskiej, kompanie I i III od strony północno-wschodniej od Mireckiego i Karolkowej rozpoczynają natarcie na pozycje niemieckie na cmentarzu kalwińskim. Rozpoczyna się mordercza walka o każdy grób, o każdy metr kwadratowy ziemi, prowadzona przede wszystkim granatami i ręczną bronią maszynową. W godzinach wieczornych pozycje na zachodnim i południowym skraju cmentarza kalwińskiego ponownie zostają obsadzone przez I i III kompanię batalionu „Parasol". Noc z dnia 7 na 8 sierpnia wszystkie trzy kompanie batalionu spędzają na placówkach na obu cmentarzach ewangelickich, obsadzonych dnia 7 sierpnia rano, które przez cały dzień przechodziły z rąk do rąk.

Dzień 8 sierpnia rozpoczął się dla „Parasola" od działań grupy pod dowództwem „Czarnego", podporządkowanej kpt. „Janowi", który z jednostkami pułku „Broda" prowadził natarcie w kierunku torów linii obwodowej z zadaniem zniszczenia pociągu pancernego. Wyposażenie ogniowe tego pociągu raziło przede wszystkim stanowiska „Parasola" na obu cmentarzach. Wypad, niestety, zadania nie spełnił. Poniósł duże straty w starciach z wysuniętymi placówkami niemieckimi; powrócić musiano na pozycje wyjściowe, nie docierając nawet do linii obwodowej.

Zadania taktyczne dla ugrupowania Reinefartha i pułku Schmidta na dzień 8 sierpnia sprowadzały się do zniszczenia zgrupowania „Kedywu" ppłk. „Radosława" na trzech kierunkach natarć: pułku Schmidta frontalnie od zachodu na cmentarz ewangelicki (luterański), policji Reinefartha z południa od osi Karolkowej i Okopowej na cmentarz kalwiński oraz niemieckiej obsady Pawiaka na tyły ugrupowania „Radosława" z równoczesnym prowadzeniem ognia na osi ulicy Gęsiej w celu utrudnienia kontaktu Wola — Stare Miasto.

Około 8.00 rano rozpoczęła się nawała ogniowa, skierowana na cmentarz kalwiński, zabudowania między Karolkową i Okopową na odcinku Kacza-Pawia oraz na cmentarz luterański, prowadzona głównie z pociągu pancernego. Około godz. 10.00 ruszyło natarcie policji Reinefartha, które zatrzymane zostało przez I i III kompanię „Parasola" oraz część oddziału „Pięść" na ulicy Żytniej i na skraju cmentarza kalwińskiego. Powtórne natarcie niemieckie około godz. 12.00 powtórnie zostało zatrzymane. Niemcy zajęli jedynie skraj cmentarza kalwińskiego od strony ulicy Żytniej.

...W godzinach wieczornych Niemcy opanowali w całości cmentarz ewangelicki (luterański) i nawiązali kontakt z nacierającą od południa grupą policji. Ta ostatnia wznowiła natarcie około godz. 18.00 i przy ciężkich stratach po obu stronach zepchnęła I i III kompanię „Parasola" oraz oddział „Pięść" z pozostałej części cmentarza kalwińskiego i z ulicy Żytniej,

ulicą Karolkową aż po ulicę Mireckiego, gdzie nastąpiło zetknięcie atakującej policji z 608 pułkiem Schmidta. W tej niezwykle trudnej sytuacji ppłk „Radosław" wydał rozkaz „Brodzie" do kontrnatarcia, które wyszło z podstaw Karolkowej i Gęsiej, uderzyło w 608 pułk Schmidta przy współudziale II kompanii „Parasola", działającej na skraju lewego skrzydła „Zośki". W walkach, których natężenie było bodajże największe tego dnia, przy dużych stratach niemieckich i własnym zepchnięto nieprzyjaciela przez cmentarz luterański z powrotem na ulicę Młynarską.

...Niemcy po ciężkich walkach, zakończonych dla nich poważnymi stratami, wykorzystują dzień 9 sierpnia na odpoczynek i przegrupowania. Prowadzą jedynie ożywioną działalność artyleryjską w rejonie cmentarza luterańskiego, ulic Mireckiego i Okopowej. Na skraju cmentarza dochodzi do drobnych stosunkowo utarczek. Poważniejszą działalność próbuje natomiast rozwinąć I kompania „Parasola" biorąc udział w natarciu zgrupowania „Kedywu" na rejon Domu Starców. Natarcie nie dało jednak spodziewanych wyników zarówno z uwagi na twardy opór Niemców, jak i wyczerpanie amunicji po stronie polskiej.

...Dnia 9 sierpnia...

W godzinach popołudniowych dowódca zgrupowania „Kedywu" ppłk. „Radosław" otrzymuje rozkaz ppłk. „Wachnowskiego" przesuwający batalion „Parasol" do odwodu dowódcy grupy Północ.

...Rozpoczyna się nowy okres działalności batalionu „Parasol", który powyższym rozkazem ppłk. „Wachnowskiego" opuścił zgrupowanie dowodzone przez ppłk. „Radosława" po dziewięciu dniach intensywnej w nim służby. Opuścił również Wolę, na której trwały jeszcze dwie z górą doby boje wykrwawionego zgrupowania „Kedywu"...

Fragmenty publikowanej rok temu w „Więzi" obszernej pracy Piotra Stachiewicza — „Parasol. Powstanie Warszawskie" — wybrane przez redakcję pod kątem walki i obrony obu cmentarzy ewangelickich na Woli. Za: „Więź" 1977, nr 11 i 12.

ALEKSANDER KAMIŃSKI

Na cmentarzach Woli

Są na Woli obok siebie trzy cmentarze: żydowski — bezdrzewny, porosły tylko krzakami, zapełniony płaskimi grobami i nielicznymi kapliczkowatymi grobowcami, oraz kalwiński i ewangelicki, obydwa niczym park tonące w zieleni drzew i krzewów, z ustawionymi pionowo płytami grobowymi i z licznymi grobowcami, poprzecinane równymi dróżkami. Cmentarze są otoczone przez wysokie mury. Do żydowskiego przylega „Twierdza" i jest on w zasięgu obserwacyjnym „Zośki". Do kalwińskiego dotykają Domy Starców i panują tu placówki „Parasola".*

...Dwie kompanie „Parasola" obsadziły cmentarz kalwiński, jedna — cmentarz ewangelicki. Ewangelickie Domy Starców, położone przy Żytniej na skraju cmentarza kalwińskiego, trzymał Wacek... Szósty sierpnia był dniem cięższym od poprzednich. Kiedy Jeremi wracał z odprawy od Pługa, powietrze drgało w warkocie maszyn lotniczych. Cały cmentarz buchał rozrywającymi się pociskami i wyrzucaną w powietrze ziemią. Jeremi położył się pomiędzy dwiema mogiłkami, aby przeczekać nalot. I nagle skurczył się cały w sobie słysząc świst spadającej bomby. Wybuch nastąpił o kilkadziesiąt kroków od niego, opadające grudki ziemi uderzyły go w plecy, nogi, głowę. Położony o 20 metrów dom administratora cmentarza miał rozwaloną ścianę, drzwi i okna, zerwany dach. Z rozwalonych pokojów drużyna „Wigier" wynosiła zabitych i rannych.

Jeremi wstał i szedł dalej, atak lotniczy przesunął się ku Młynarskiej. Jakiś odłamek uszkodził urządzenie sygnalizacji przeciwlotniczej pobliskiej fabryki i umieszczona na jej dachu syrena wyła przeraźliwie, bez końca. Jeremi przychwycił się na próbie zatkania uszu palcami i to go doprowadziło do równowagi: „Spokojnie, chłopcze, spokojnie, bo się rozkleisz".

Nareszcie przyszedł do siebie. Jego miejsce postoju jest grobowcem o żelaznych drzwiach, obecnie stojącym otworem: w podziemnym, murowanym wnętrzu mieszczą się dwie trumny, które ulokowano jedna na drugiej i tak przysunięto do ściany, aby zostało jak najwięcej wolnej przestrzeni. Na trumnach — zwoje jakichś kaplicowych draperii, które w nocy służą Jeremiemu zamiast siennika. W grobowcu czekał już na niego jeden z dowódców plutonów oraz łączniczka.

— Wiesz, Jeremi, strzelali w nas jak w tarczę na strzelnicy, a potem skokami od domu do domu.

— Kto?

— No, szkopy! I już byli o jakie sto kroków, ale załamali się i prysnęli. Na razie — w porządku. Tylko ten żar ognia trudno wytrzymać.

...Jeremi usiłuje spacerować po wnętrzu grobowca, ale to się nie udaje, znów siada i wydobywszy notes pisze w nim szybko kilka zdań. Wydziera kartkę i daje łączniczce, która siedzi na najniższym stopniu grobowca z głową podpartą na rękach i oczyma utkwionymi w Jeremiego.

*...Niedługo był sam. Ktoś przyszedł zameldować, że poza dziurą w murze na wprost kaplicy Knolla** kilku naszych padło i nie można wyciągnąć ich ciał. Fatalny ogień karabinu maszynowego.*

— Spróbujcie w nocy — mówi Jeremi.

...Siódmego sierpnia walka rozpoczęła się od bardzo wczesnego rana. Utrzymanie barykady przy zbiegu Żytniej i Młynarskiej, bronionej

---

* ewangelicko-reformowany — red.

** Nie ma na cmentarzu kaplicy Knolla, jest tylko obelisk. Prawdopodobnie więc mowa jest o kaplicy Klimensa — red.

przez trzy karabiny maszynowe, staje się tak trudne, że Pług zarządza jej przygotowanie od ewakuacji. Oparciem obrony ma się stać teraz wał zbudowany przed bramą cmentarza kalwińskiego i umocniony płytami chodnika.

...Niewiele przed południem wpadła do grobowca, stanowiącego „miejsce postoju" Jeremiego, Jasia. Na twarzy jej widniało wzburzenie. Jeremi odruchowo wciągnął głębiej powietrze w płuca.

— Jeremi, Pług ranny! (...)

— Pług jak Pług — odezwał się do Jeremiego Rafał, gdy zostali sami — wyjdzie prawdopodobnie z tej rany, ale Wańkowiczówna? Przyrzekłem matce czuwać nad nią. Gdy biegła ostatni raz z rozkazem — wykonywała moje polecenie...

Nie dokończył zdania i nie pożegnawszy się z Jeremim ruszył ku wyjściu.

Jeremi nie miał czasu na przeżywanie bólu Rafała ani na myślenie o Pługu. Już wchodzili ludzie, nie mogący się doczekać chwili, gdy w grobowcu Jeremiego nie będzie dowódców kompanii. Wnet jednak przybiegła wystraszona łączniczka pierwszej kompanii i Jeremi pędem rzucił się ku barykadzie przy Żytniej. Barykada została utrzymana. Jeremi osobiście zorganizował i poprowadził przeciwnatarcie. Przeciwnatarcie to wsparł ogień zdobycznej pantery.

Gdy walka wygasła, Jeremi, ledwie żywy ze zmęczenia, umył się pod strużką wody, którą mu Jasia lała z menażki na ręce, i przekazawszy Rafałowi dowództwo, poszedł do szpitala do Pługa.

...Gdy Jeremi wracał pośpiesznie do siebie, widział, jak ogromny pożar otacza półkolem ich rejon. Paliły się od zachodu i północy liczne domy. Zwarte kłęby dymu przenikały przez gęstwę gałęzi drzew cmentarnych, układając się w dziwaczne kształty. Jedną z bocznych ulic szybko biegła grupa mężczyzn, kobiet i dzieci z tobołami na plecach, walizami lub zawiniątkami w ręku. W swoim grobowcu pobył krótko. Wysłuchał kilku meldunków i ruszył na obchód, zbierając skrzętnie informacje o położeniu oddziałów nieprzyjacielskich.

I zaczęło się znów. Na cmentarze lunął grad różnorakich pocisków. Ziemia tryskała pod niebo, odłamki płyt grobowych i żelastwa dzwoniły po grobowcach, ostry trzask broni maszynowej rozlegał się we wszystkich kierunkach, a cały ten chaos dźwięków podwajało echo odbijane od gęstwy drzew. Jeremi doskonale rozróżniał serie strzałów wychodzące z karabinów maszynowych niemieckich i naszych: nasze były krótkie, oszczędne, ich przelewały się potokami nie milknącego jazgotu.

Od Młynarskiej i z boków ruszyło szeroko natarcie niemieckie. Widać było żołnierzy przeskakujących pojedyńczo od domu do domu i przez ulicę. Jeremi pobiegł skulony do trzeciej kompanii i objął bezpośrednie dowództwo. Przesunął stanowiska lkm i rkm, skierował paru strzelców wyborowych na dogodniejsze miejsca. Gdy fala nacierających załamała się i Niemcy po jednemu, po dwóch zaczęli umykać, Jeremi poderwał jeden z plutonów i ruszył za uciekającymi. Przeskoczyli na drugą stronę Młynarskiej, okrążyli jakieś budynki i wpadli w ogrody warzywne. Stąd razili skutecznie uciekających, dopóki nie wymacały ich pociski sąsiedniego oddziału niemieckiego. Jeremi dał gwizdkiem sygnał na wycofywanie się. Odchodząc zrywali w pośpiechu soczyste pomidory.

Siódmy sierpnia mijał w oddziałach „Parasola" jak ciężki chorobliwy sen. Znikły godziny dnia, posilano się nie wiadomo kiedy i byle czym. Czas stanął w swym biegu. Cmentarze kalwiński i ewangelicki stanowiły jedyną oazę w morzu płomieni. Ale żar tych płomieni, potęgowany przez żar sierpniowego słońca, czynił z owej oazy miejsce udręki. Samoloty bombardujące krążyły nad cmentarzami. Także dalekie działa pociągu pancernego wstrzelały się w cmentarze. Najbardziej niebezpieczne, gdyż nieobliczalne, są pociski niemieckich granatników. Sanitariuszki nie nadążają z uprzątaniem rannych i zabitych.

Późnym wieczorem z rozkazu Radosława oddziały „Parasola", zluzowane przez „Zośkę", wycofały się z cmentarzy na Stawki, aby wypocząć i zreorganizować się po ciężkich stratach. Gdy w milczeniu, ciężko wlokąc nogi, ruszyli ku gruzowiskom Ghetta, czerwone od pożarów niebo napełniało cmentarze niesamowitym światłem, które szarzało, brunatniało, fioletowiało od przewalających się chmur dymu. Strzelanina zmniejszyła się, ale nie ustawała. Na Stawkach spędzili noc i część dnia.

...Po południu wrócili na swe dawne stanowiska. Rafał z pierwszą kompanią i Jurek Lot z trzecią na bardzo już teraz eksponowany cmentarz kalwiński. Wacek z kompanią drugą — na ewangelicki. Luzowanie oddziałów „Zośki" odbywało się w ogniu nieprzyjacielskim, lecz poszło szczęśliwie. Także kilkakrotne uderzenia nieprzyjacielskie, które nastąpiły przed wieczorem, mimo zmiennego powodzenia, nie przyniosły poważniejszego uszczerbku. Atak czołgów od Żytniej narobił najwięcej zamieszania, ale cmentarze trzymano mocno.

Noc minęła stosunkowo spokojnie.

Ranek 9 sierpnia wstał w chmurach i zapowiadał dżdżysty dzień. Już wkrótce po świcie nieprzyjaciel otworzył na cmentarze ogień tak intensywny, jak nigdy dotąd. Jeremi zbudzony z krótkiego snu, zorientował się od razu, iż zanosi się na silne uderzenie niemieckie. Wybiegł pośpiesznie ze swego grobowca ku stanowiskom 1 i 3 kompanii na cmentarzu kalwińskim.

Już po godzinie sytuacja stała się nie do zniesienia. Wśród szczekania ckm-ów, grania moździerzy, grzmotu artylerii i rwących się pocisków żołnierze 1 i 3 kompanii czekali na spodziewane natarcie powtulani między groby. Jeremi, pełznąc tu i tam, sprawdzał gotowość obronną plutonów.

Nieprzyjacielskie czołgi skończyły wywalać szereg otworów w murach cmentarnych. Piechota niemiecka pojawia się wśród grobów. Dwa razy wypierano nieprzyjaciela poza mur cmentarny. Pojawił się tu po raz trzeci i po kilkunastu godzinach zajadłej walki o każdy niemal grób opanował cmentarz kalwiński całkowicie, a ewangelicki częściowo. Po pewnym czasie nieprzyjaciel rozpoczął natarcie, chcąc zupełnie wyprzeć powstańców także i z tego cmentarza. Żołnierze niemieccy usiłowali posuwać się naprzód pomiędzy mogiłami i pomnikami, ale co pewien czas zapadali się i długo nie ruszali dalej.

Pozostałe groby wciąż dawały ochronę obrońcom, a krzewy maskowały ich ruchy. Dowódcy „Parasola" resztkami sił wykorzystywali te właściwości terenu, a zarazem przeklinali je, gdyż dowodzenie kompaniami a nawet plutonami stawało się fikcją. Na szczęście świeżo zwerbowani żołnierze, częściowo młodzi robotnicy wolscy, wykazywali, podobnie jak weterani „Parasola", niezwykłą zaciętość. Jeremi, zachrypnięty, spocony, uwalany w popiołach i w ziemi, nie miał potrzeby zachęcać do trwania: w tym chao-

sie wybuchów, błysków i świstów ogarniających oddziały zrodziła się psychoza zaciętości tak silna, że ludzie walczyli bez rozkazów jak w uniesieniu. Broniono poszczególnych grobów, odpierano wroga granatami i pistoletem, piersią w pierś. Powiedzenie: „walka na życie i śmierć" w tym miejscu nie było frazesem. Pod koniec dnia tych straszliwych walk siły „Parasola" wyczerpały się. Były to mimo wszystko tylko trzy nieodpowiednio uzbrojone kompanie, których straty w zabitych i rannych osiągnęły 50%. Żaden dowódca i żaden oddział nie utrzymałby się dłużej w tych warunkach. Dziewiątego sierpnia przed wieczorem przeważająca część „Parasola" w ogniu wszelakich broni opuściła cmentarz i wycofała się dla wytchnienia na obszar swoich terenów, do Starego Miasta. Ale wycofanie się „Parasola" nie oznaczało oddania cmentarza ewangelickiego nieprzyjacielowi. Ostre kontrnatarcie „Zośki" odepchnęło posuwające się za „Parasolem" fale niemieckiej piechoty. Odepchnęło aż poza mur cmentarza. Plutony „Zośki", zająwszy znów pozycje „Parasola", przejęły jego zadania bojowe.

...Jeżeli plutony „Zośki", obejmując cmentarz ewangelicki po odchodzącym „Parasolu", tak skutecznie i szybko zrolowały nieprzyjaciela, to zasługa tego czynu bojowego opromienia przede wszystkim kapitana Jana, miedzianowłosego bożka wojny, jak go żartobliwie nazywał Andrzej Morro. Kapitan Jan już przed paroma dniami opracował pomysł, dla którego urzeczywistnienia zgromadził odpowiedni materiał i cierpliwie czekał na sposobność. Gdy „Zośka" obejmowała pozycje „Parasola" na cmentarzu i w przerwie między natarciami piechoty nieprzyjacielskiej pokazał się wśród dymów nieba klucz nadlatujących Stukasów, kapitan Jan, znajdujący się wraz z „Alkiem" na skraju cmentarza, rozpakował szybko plecak i po chwili w górę wystrzeliła niemiecka biała rakieta sygnałowa, podająca lotnikom kierunek bombardowania. Za nią druga, trzecia. Wynik przeszedł najśmielsze oczekiwania: Stukasy od razu przeszły w loty nurkowe i na zajętą przez Niemców część cmentarza runęły bomby. Gdy ostatni ze Stukasów wyrównał lot, kapitan Jan nie panując nad sobą rzucił się naprzód krzycząc głośno „hura"! Za nim, z krzykiem „hura" biegł Kołczan, cały „Alek" i część „Maćka". W Powstaniu nie zawsze szło się do natarć z krzykiem. Tym razem krzyk stał się wewnętrzną potrzebą serc tych żołnierzy, tak jednostronnie dotychczas i bezkarnie rażonych przesz wrogie lotnictwo.

Po piętnastu minutach cały cmentarz ewangelicki przeszedł w ręce powstańców. Niektóre drużyny zapędziły się za uchodzącym nieprzyjacielem w ulicę Żytnią.

Fragmenty książki „Zośka i Parasol", Warszawa 1957, wyd. I, s. 281 i nast.

ROZMOWY PRZY STUDNI

„To ja jestem, nie bójcie się"

(Jan 6:16—21)

AGNIESZKA — Madelaine Delbrel powiedziała kiedyś, że kroki Boga są jak kroki chodzącego po wodzie — nie można ich zobaczyć, ale wiarą można je odczytać. Myślę, że sprawdza się to w stosunku do wielu tekstów Ewangelii i w tysięcznych sytuacjach naszego życia. Śmiałabym zaryzykować twierdzenie, że Chrystus, który wybrał noc i wodę jako sposób dojścia do człowieka, myślał także o współczesnym człowieku, gdy wystawiał apostołów na próbę lęku i chciał ten ich lęk uspokoić. Bo człowiek począwszy od dzieciństwa — przez lata studiów, przez zagrożenie pracy, zagrożenia miłości i całej swojej egzystencji — aż do samej starości, opóźniającej się, ale także zagrożonej, słowem, przez całe życie człowiek pogrążony jest w lęku przed czyhającym zza węgła niebezpieczeństwem. I na to Chrystus odpowiada takim właśnie uspokojeniem: „To ja jestem, nie bójcie się". Znam to ze swojego życia: na trzy miesiące przed podjęciem pewnej definitywnej decyzji ciężko zachorowałam. Choroba przekreśliła absolutnie i na wszystkich płaszczyznach moje życiowe perspektywy. Pamiętam doskonale moment swego strachu. Bo to nie był lęk, ale coś więcej, bo dotyczyło zagrożenia całej mojej egzystencji — i duchowej, i fizycznej. Dwa tygodnie żyłam w takim stresie aż do niedzieli Zmartwychwstania. Nie mogłam jeszcze wstać, ale usłyszałam śpiew introit gregoriańskiej mszy: „Resurrexi et adhuc tecum sum... Posuisti super te manum meam". Wiedziałam, że te słowa odnoszą się do kogoś innego: słowa Boga Ojca do Chrystusa, ale równocześnie odczułam je jako skierowane do siebie, jako dotknięcie Bożej ręki. Dlatego odtąd nigdy więcej z mej strony nie padło pod Jego adresem pytanie: „Dlaczego?" To dotknięcie było odpowiedzią na mój straszny lęk o przyszłość, która, po ludzku mówiąc, nie miała żadnych perspektyw.

KALINA — To byłoby działanie Boga w konkrecie, w stosunku do ciebie jako indywidualnej osoby. Ja natomiast widzę ten sam tekst w możliwie najszerszej perspektywie. Chrystusowe „To ja jestem" stanowi paralelę do słów Jahwe, objawiającego się w gorejącym krzaku: „Ja Jestem". Nie chodzi tu o definicję Boga określającego siebie w sposób filozoficzny, ale o zapewnienie, że „Ja jestem Bogiem obecnym z wami. Bogiem, który udowodni wam tę swoją obecność". Perspektywa naszego tekstu zaczyna się więc gdzieś na początku Starego Testamentu. Podejmuje ją Chrystus, kiedy w ciemności i w przerażeniu apostołowie biorą Go za zjawę, a On upewnia ich tymi samymi słowami: „To ja jestem". I analogiczne zapewnienie powtórzy przed swoją śmiercią, oficjalnie zapytany, czy jest Synem Boga żywego. Za tę odpowiedź pójdzie na krzyż jako nie rozpoznany Bóg. Czyli fakt istnienia Boga — lub Chrystusa — w bliskości człowieka od początku do końca uwikłany jest w mrok. Nigdy nie widać Go jasno. Trzeba Go akceptować mocą wiary, która wydaje się ryzykiem i dlatego łączy się z lękiem.

AGNIESZKA — Ciekawy jest dla mnie jeszcze sam kontekst przekazu ewangelistów. Jan zupełnie pomija szczegóły, które dla Mateusza i Marka były bardzo

ważne, choć nie pierwszoplanowe. Ogranicza się do relacji apostołów, że wypłynęli na morze; nie mówi nawet w jakim kierunku. Mateusz przekazuje najszerszą relację i opisuje historię Piotra chodzącego po wodzie, wątpiącego, tonącego. A Marek wiąże fakt pojawienia się Chrystusa na jeziorze z poprzednim rozmnożeniem chleba i zapowiedzią Eucharystii. Ta ostatnia wydaje mi się wskazówką, że nam dzisiaj Chrystus tylko za pośrednictwem Eucharystii daje odpowiedź na nasze pytania i lęki. Apostołowie mogli niejako pozwolić sobie na to, że zapomnieli, co zdarzyło się w ciągu dnia, byli nawet przerażeni rozmnożeniem chleba. Ale mieli Chrystusa jak gdyby pod ręką, mogli Go osobiście zapytać, prosić o wyjaśnienia. A nawet, jeśli wpadli w taką czy inną burzę na morzu, mogli liczyć na Jego interwencję, a jeśliby nie liczyli — fakt tej interwencji i tak by zaistniał. My natomiast mamy Chrystusa tylko przez Eucharystię.

KALINA: — Nie tylko. Mamy Go przez Biblię i Eucharystię, przez Słowo i sakrament. Prawosławni dodaliby jeszcze: przez Słowo, obraz, sakrament. Tak czy inaczej, następuje tu spotkanie osobiste i osobowe. Można by je nazwać także spotkaniem dwóch pragnień, dwóch dążeń zmierzających do szczęścia człowieka. Z jednej strony on sam, człowiek, dążący w oparciu o swoje własne pragnienia, a z drugiej strony Chrystus, który przecież dla człowieka, nie dla własnej przyjemności, wkroczył w ludzką kondycję. Tylko że po stronie Chrystusa jest to dążenie całkowicie świadome i jasne, podczas gdy po stronie człowieka pozostają zawsze niejasności nawet wówczas, gdy się akceptuje wiarą tajemnicę rzeczywistości Chrystusa. Dzieje się jednak czasem coś wręcz przeciwnego niż na Tyberiadzkim Jeziorze: człowiek boi się „zjawy", biorąc ją za Chrystusa. Nie chce uznać Chrystusa własnych wyobrażeń, mających niewiele lub nie mających nic wspólnego z prawdziwym Chrystusem.

BARBARA — Nie wymieniłyśmy jeszcze jednego bardzo ważnego medium spotkania z Chrystusem: drugiego człowieka. Drugi człowiek jest dla nas często mrokiem budzącym lęk, ale jednocześnie jest wizerunkiem Chrystusa. Rozpoznanie tego wizerunku bywa nieraz tak trudne, że skłonni jesteśmy sądzić, iż otaczają nas zjawy niepokojące, groźne, budzące lęk lub odrazę. Bywa i tak, że otwarcie się na drugiego człowieka wymaga podobnego aktu odwagi, jak Piotrowe chodzenie po wodzie. Nie wydaje mi się jednak, abyśmy mogli pojąć sens człowieczeństwa Chrystusowego inaczej, niż przez współuczestniczenie w życiu innych ludzi, w różnej formie, ale zawsze takiej, która angażuje naszą osobowość w sposób istotny, a nie tylko przypadkowy — ograniczony do wspólnego miejsca, razem spędzanego czasu, spraw czysto zewnętrznych, wiążących obie strony wspólnym interesem i wymiernych w kategoriach wspólnego interesu. Prawdą jest, że każdy człowiek dąży do szczęścia (odkrył to już stary Arystoteles). Ale ta prawda wymaga koniecznego uzupełnienia, jeżeli ma być prawdą rzeczywiście chrześcijańską. Chrystus daje to szczęście człowiekowi i płaci za nie własnym życiem: „aby życie mieli i mieli je w obfitości". On też nakazuje: „Nowe przykazanie wam daję, abyście się wzajemnie miłowali, jak ja was umiłowałem". Dokładnie tak, to znaczy dając swoje życie „na okup za wielu". Różne są formy dawania i różne postaci „okupu", ale sądzę, że sama zasada dania siebie, łącznie z ludzkim pragnieniem szczęścia, drugiemu człowiekowi, a nie abstrakcyjnej „ludzkości" czy innej „idei", jest chyba warunkiem rozproszenia mroku, aby zniknęły zjawy, a wyłoniła się twarz Chrystusa. Wydaje mi się, że wyłania się ona zawsze wówczas, gdy niezależnie od okoliczności życia oraz różnych lęków, niepokojów, a także realnych cierpień, jakich przysparzają nam ludzie, gotowi jesteśmy otwierać się na ich potrzeby, spotykać ich, karmić, chronić, rozumieć.

KALINA — Słusznie mówisz o groźnych zjawach. Bo człowiek to nie tylko św. Franciszek, Pasteur i Schweitzer, człowiek to także Hitler i Eichman, i ten, co strzelał do Kennedych i do Aldo Moro. Człowiek wyprodukował górę popiołów ludzkich w Majdanku, w proch obrócił Warszawę i uśmiercił Hiroszimę, a teraz myśli o humanitarnej broni zagłady. Ale i po tej mętnej fali stąpa Chrystus ze swoim: „Ja jestem, nie bójcie się".

AGNIESZKA — Problem łatwiej rozwiązywalny dla człowieka głęboko wierzącego, ale jakże trudny dla kogoś, kto o swojej wierze przypomina sobie w niedziele i święta. Człowiek wierzący ma prawo podjąć jakby „układ" z Panem Bogiem, obiecując Mu, że wszystko, co go spotka, przyjmie nie jak ślepe przypadki czy efekt złej woli ludzkiej, ale jako wydarzenia przychodzące z Jego ręki. Ma tę cudowną szansę, że niezależnie od tego, jak układałaby się jego życiowa sytuacja, może sobie powiedzieć, że zawsze stoi za nią Bóg. Bo psychologicznie rzecz biorąc, dziecku wystarczy, że ojciec czy matka powie mu: „Nie bój się, jestem przy tobie", ale im bardziej człowiek rośnie i samodzielnieje, im bardziej bogaci się w doświadczenie, tym trudniej go uspokoić, i przychodzi taki moment, kiedy tylko Chrystusowe „Ja jestem" gwarantuje mu poczucie spokoju.

KALINA — Można by tu mówić o sartrowskiej koncepcji życia, którego istotą ma być trwoga, absurd i śmierć. Sytuacja, w której człowiek nie prosił się o wejście w istnienie, ale niejako wbrew sobie został w nie wrzucony czy wręcz na nie skazany. Jeśli akcentując, a nawet przeakcentowując tu element lęku, marginalnie suponuje się jednak rozwiązanie dzięki istnieniu człowieka po śmierci, to jeszcze pół biedy. Gorzej, jeżeli zaprzecza się zmartwychwstaniu. Ale jest dla mnie rzeczą zrozumiałą, że filozofia Sartre'a mogła się zrodzić z doświadczeń obozu koncentracyjnego czy wojennego więzienia.

AGNIESZKA — Podobno człowiek przebywając w kosmosie najbardziej odczuł, czym jest dla niego drugi człowiek. Któryś z kosmonautów miał powiedzieć, że wystarczyłoby, aby małą szpilką przebito mu zbiornik tlenu, a zostałby unieruchomiony, unicestwiony. W kosmosie nabiera to „kosmicznych" wymiarów. Ale i na ziemi nasza sytuacja jest krucha i zależna. Tylko Słowo Boże i wiara nadaje jej sens.

KALINA — Psychologowie twierdzą, że dojrzewanie ludzkiej osobowości polega na umiejętności otwierania się na miłość drugiego człowieka, ale jest to nierozłącznie sprzężone z lękiem i momentem ryzyka. Bo drugi człowiek, choćby najbardziej kochający, wydaje się zawsze zagrożeniem. Podobnie dojrzewanie na płaszczyźnie religijnej polega na „wydaniu się w ręce Boga". Tu też istnieje element lęku przed tajemnicą, ale ryzyko może przyjąć formę zaufania.

AGNIESZKA — Jest jednak ogromna różnica między wydaniem się w ręce Boga, a wydaniem się w ręce

człowieka. W kontakcie z Bogiem ryzyko polega właściwie tylko na tym, że ja mogę zawieść, natomiast mój Partner zawsze pozostanie niezawodny. Natomiast w stosunkach ludzkich ryzyko tkwi po obu stronach.

BARBARA — Niepokoi mnie ta wasza defensywna postawa wobec drugiego człowieka. sądzę, że wcale nie ma takiej kolosalnej różnicy między wydaniem się w ręce Boga, a wydaniem się w ręce człowieka. Przeciwnie, mam przekonanie, że jest to w gruncie rzeczy jedno i to samo: „Po tym poznaliśmy miłość Bożą, że On oddał za nas swoje życie. My także musimy oddać życie za braci". Obydwa listy św. Jana najlepiej wyrażają myśl, o którą mi chodzi. Wydaje mi się, że w nas, chrześcijanach, tkwi lękliwa tendencja do „ucieczki w Boga", będącej jednocześnie „ucieczką od człowieka", ponieważ jest to w większości wypadków partner niepewny i wielce zawodny, a Bóg zawsze bywa „na poziomie". Właśnie ta tendencja ostro kompromituje chrześcijan wszędzie tam, gdzie ze stoickim spokojem znoszą oni widok nie zaspokojonych potrzeb swoich bliźnich, którzy na ich oczach cierpią głód, nędzę, przemoc, różne formy dyskryminacji. Może trochę za ostro reaguję na wasze wypowiedzi, ale widzę, że zakradło się do nich zbyt wiele abstrakcyjnej teologii na niekorzyść prostego odczytywania Pisma.

KALINA — Nie masz racji. Różnica naszych postaw z tego wypływa, że Agnieszka i ja należymy do pokolenia, które na własnej skórze przeżyło głód, przemoc i dyskryminację przez niekończące się sześć lat okupacji, która pożarła naszą młodość. Dla ciebie natomiast jest to już historia, którą znasz tylko z opowiadania, patrzysz na nią z dystansu jak obserwator, a nie jak ktoś, kto bezpośrednio doznawał zagrożenia. Z jednej strony piekło Warszawskiego Powstania stanowi kapitał życiowy, którego nie oddałabym za żadne skarby, z drugiej strony jednak wpisało się ono w podświadomość w sposób niesamowity i nieodwracalny. Dlatego możliwość „stawiania na Boga" — a nie „ucieczki w Boga" — jest tu najważniejszą terapią, i to właśnie w formie „prostego" odczytywania Pisma, a nie jakiegoś teologizowania. I właśnie w oparciu o osobiste i bardzo drastyczne doświadczenia wojenne — kiedy np. miałam zamiar uciekać przez okno trzeciego piętra, wprost na druty z wysokim napięciem, przed Niemcami, którzy zamknęli nas w koszarach i mieli spędzić z nami kilka nocy — w oparciu o takie doświadczenia twierdzę, że są spotkania z Chrystusem, odbywające się wyłącznie na środku morza. Nie w momencie spokoju, ładu, zagwarantowanej egzystencji etc., ale wyłącznie między jednym a drugim brzegiem, oko w oko ze śmiercią. Charakterystyczne jest właśnie to, co pisze ewangelista, że apostołowie tyle zmagania wkładali w utrzymanie się na powierzchni, a kiedy spotkali Jezusa, ich łódź natychmiast przybiła do brzegu: poczuli twardy, bezpieczny grunt pod nogami. Ten opis wypływa może nie tylko z założenia Janowego, ale z jego psychiki jako urodzonego teologa, dla którego ważne jest podkreślenie Bóstwa Chrystusa, a zatem jeszcze jeden, inny, niepowtarzalny cud.

BARBARA — Istotnie, cały ciężar zmagania się z żywiołem sprowadzony został do prostego gestu przyjęcia Chrystusa do łodzi. Odległy cel sam przybliżył się wraz z Nim. Widzę to jeszcze tak: boimy się „zjawy" Chrystusa, dążąc do rozmaitych dalekich celów, a boimy się dlatego, że Jego „kroczenie po wodach" prawie zawsze jest jakimś odwróceniem zwykłego porządku rzeczy. Ale trudne i dalekie cele nagle stają się bliskie i łatwo osiągalne, gdy najistotniejszy staje się On. Widzę tu analogię z tym dążeniem do szczęścia, o którym mówiła Kalina, będącym upragnionym a jednocześnie odległym celem. Chrystus, którego się trochę boimy, przychodzi nie tak, jak byśmy się spodziewali. Ale kiedy robimy Mu miejsce, nagle przybijamy do brzegu.

Oprac. K.

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

Z ZAGRANICY

● 5 września br., podczas audiencji u papieża Jana Pawła I, zmarł na atak serca metropolita Leningradu i Nowogrodu, ks. arcybiskup Nikodem, który reprezentował Patriarchat Moskiewski na uroczystościach pogrzebowych papieża Pawła VI i na uroczystej intronizacji nowego papieża. Dnia 10 IX w katedrze pw. Przenajświętszej Trójcy w Leningradzie odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne z udziałem patriarchy Pimena, członków Świętego Synodu, licznych duchownych i wiernych oraz delegacji różnych wyznań chrześcijańskich. W skład delegacji polskiej wchodzili: ks. ihumen Szymon Romańczuk — dyrektor Kurii Metropolitalnej Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, ks. prof. dr Woldemar Gastpary — rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej i ks. bp Tadeusz Majewski — zwierzchnik Kościoła Polskokatolickiego. Ks. bp Władysław Miziołek, przewodniczący Komisji Episkopatu do Spraw Ekumenizmu, przesłał na ręce patriarchy Pimena telegram kondolencyjny. Metropolita Nikodem spoczął na cmentarzu klasztoru św. Aleksandra Newskiego w Leningradzie.

Zmarły, którego właściwe nazwisko brzmiało Borys Georgiewicz Rotow, urodził się w 1929. Do klasztoru wstąpił w wieku 18 lat. W 1957 został archimandrytą i kierownikiem misji Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego w Jerozolimie, w 1959 — szefem kancelarii, a w rok później dyrektorem Wydziału Zagranicznego Patriarchatu Moskiewskiego. W 1961 otrzymał nominację na arcybiskupa, w dwa lata później został metropolitą Mińska i wkrótce metropolitą Leningradu i Nowogrodu. Był zaangażowanym działaczem ekumenicznym, jednym z sześciu prezydentów ŚRK, rzecznikiem zbliżenia między Rosyjskim Kościołem Prawosławnym a Kościołem Rzymskokatolickim; w latach 1971 — 1978 był prezydentem Chrześcijańskiej Konferencji Pokojowej, a od czerwca br. honorowym prezydentem tej organizacji. Kilkakrotnie odwiedzał Polskę, uczestnicząc w różnych posiedzeniach międzynarodowych.

● Wybór kardynała Albino Luciani na papieża został powitany z zadowoleniem przez ks. dr. Filipa Pottera, sekretarza generalnego Światowej Rady Kościołów, który w wy-

wiadzie prasowym wyraził nadzieję na kontynuowanie tradycji II Soboru Watykańskiego. Podobnie Komisja „Wiara i Ustrój" ŚRK, której członkami są także teolodzy katoliccy, zapewniła Jana Pawła I o gorących i braterskich modłach podczas „ekumenicznej pielgrzymki do pełnej jedności tych wszystkich, którzy noszą imię Jezusa Chrystusa i pragną być Jego świadkami w świecie". Sekretarz Generalny Światowej Federacji Luterańskiej, dr Carl Mau, oświadczył, że zdaje sobie sprawę, jak ciężkie brzemię przypadło w udziale nowemu papieżowi. Wyraził też nadzieję, że w okresie pontyfikatu Jana Pawła I kontynuowane będą wysiłki na rzecz zbliżenia między katolikami i luteranami.

● 28 września br., po zaledwie 33 dni trwającym pontyfikacie, zmarł na atak serca papież Jan Paweł I.

● Zebrane w Watykanie konklawe kardynałów Kościoła katolickiego wybrało 16 października br. nowego papieża. Został nim ks. kardynał Karol Wojtyła, dotychczasowy arcybiskup-metropolita krakowski, który przybrał imię Jana Pawła II. Wybór Polaka na najwyższy urząd Kościoła katolickiego był wielkim zaskoczeniem dla całego świata. Jan Paweł II jest pierwszym papieżem Polakiem i pierwszym papieżem nie-Włochem od 455 lat. Urodził się 18 maja 1920 w Wadowicach. W 1942 podjął studia teologiczne w konspiracyjnym Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Krakowie. W 1946 otrzymał święcenia kapłańskie. Następnie studiował w Rzymie oraz w Belgii i we Francji, prowadząc tam jednocześnie działalność duszpasterską wśród Polonii. Po powrocie do kraju pracował w różnych parafiach. W 1948 obronił pracę doktorską, a w 1953 habilitacyjną na Wydziale Teologii Katolickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 1956 aż do wyboru na stanowisko papieża był pracownikiem naukowym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie prowadził wykłady i seminaria z etyki. W 1958 otrzymał nominację na biskupa-sufragana, a w 1963 na arcybiskupa-metropolitę krakowskiego. Kardynałem został w 1967. Uczestniczył aktywnie w pracach Soboru Watykańskiego II i w kolejnych posiedzeniach Synodu Biskupów. Przez wiele lat pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski oraz przewodniczył jej różnym organom. Uroczysta intronizacja Jana Pawła II odbyła się 22 października br.

Z KRAJU

● Generalny Sekretarz Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych, ks. dr Edmond Perret, przybył do Polski 29 września br., aby wziąć udział w introdukcji nowo wybranego biskupa Kościoła Ewangelicko-Reformowanego. W sobotę, 30 września, udał się z ks. bp. Zdzisławem Trandą z wizytą do zboru zelowskiego. Następnego dnia, podczas uroczystości introdukcyjnej w kościele warszawskim wygłosił przemówienie, w którym przekazał pozdrowienia dla ks. Zdzisława Trandy i dla ks. Jana Niewieczerzała oraz zapewnienie, że światowa rodzina Kościołów reformowanych pamięta o Kościele polskim i będzie wspierać jego misję modlitwą i czynem. W godzinach rannych 30 września ks. dr E. Perret odwiedził ks. kard. Stefana Wyszyńskiego, aby w imieniu Aliansu złożyć kondolencje z powodu nagłego zgonu papieża Jana Pawła I. W ostatnim dniu pobytu w Polsce, w poniedziałek 2 października złożył w towarzystwie ks. bp. Zdzisława Trandy wizytę dyrektorowi Urzędu do Spraw Wyznań, min. Kazimierzowi Kąkolowi. We wtorek ks. dr E. Perret opuścił Polskę.

● Gościem Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce był ks. dr Robert Marshall, prezydent jednego z największych Kościołów luterańskich w USA. Celem jego wizyty (od 8 do 13 IX) było zapoznanie się z życiem i działalnością Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w naszym kraju.

Wprowadzenie w urząd...

(Dokończenie ze s. 10)

czami. Wieczorem zaś, wraz z siostrami z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, przygotowały w udostępnionej do tego celu sali Ośrodka Ewangelickiego przy ul. Miodowej 21 — kolację dla blisko stu osób.

Pośród zaproszonych znalazły się m.in. delegacje zborów reformowanych, delegacje bratnich Kościołów z Polski i zagranicy, pastorzy z żonami, rodziny i przyjaciele obydwu biskupów. Na uroczystość przybyli także przedstawiciele Władz Państwowych w osobach dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań — pana Tadeusza Dusika oraz dyrektora Stołecznego Wydziału — pana Jerzego Śliwińskiego.

Wiele dobrych słów i serdecznych życzeń padło tego wieczoru pod adresem nowego biskupa — ks. Zdzisława Trandy. Znamienne jednak było i to, że witając najgoręcej i najżyczliwej nowego biskupa, wszyscy mówcy, także pan dyrektor Tadeusz Dusik, z najwyższym szacunkiem i uznaniem wyrażali się o 25-letniej pracy i zasługach, jakie poniósł dla Kościoła Ewangelicko-Reformowanego i kształtowania jego oblicza ustępujący biskup — ks. dr Jan Niewieczerzał. I tak, jak to na naszych ludzkich, ziemskich drogach bywa, i tym razem radość powitania splotła się ze smutkiem pożegnania.

B. ST.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83. Prenumerata w kraju: roczna — 92 zł, półroczna — 46 zł. Zagraniczna roczna — 184 zł. Cena numeru pojedynczego —8 zł. Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3854-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 8 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch" Zakł. Graf. W-wa, Srebrna 16, z. 675-78/O, nakł. 3000 egz. S-38